





Estv 2. wyd. t. 9. s. 295

GRY I ZABAWKI dla DZIECI.

naśladowane

z 10^{ciu} KOLOROWANEMI

Nakładem J. Bernsteina



Francuskiego

RYCINAMI

przy Ulicy Miodowej N°483.

w Warszawie

p. 6. gr. 20.

G
72.

GRY I ZABAWKI DLA DZIECI.

884-93: 793.4



399822/
92

z/352/92

GRY I ZABAWKI DLA DZIECI.

NAŚLADOWANE Z FRANCUZKIEGO.

z dziesięcią rycinami kolorowanemi.

WARSZAWA.

NAKŁADEM J. BERNSTEJNA KSIĘGARZA,

przy ulicy Miodowej Nr. 483.

1851.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
exemplarzy.

w Warszawie dnia 22 Marca (3 Kwietnia) 1851 r.

Starszy Cenzor, TRIPPLIN.

W Drukarni J. Jaworskiego.



Sznur.

SZNUR.



jeze kochany, co znaczą te grabie utkwione rękojeścią w ziemię, w pewnej odległości jedne od drugich? — Do czego służy to koło, tak szybko obracane przez owego chłopczyka — i co robi ów człowiek, którego tam daleko widzimy?

— To, co ty widzisz mój synu jest warsztat powroźnika. Uważaj tylko dobrze człowieka, którego mi z daleka wskazujesz, jak on w przypasany przed sobą fartuchu ma znaczny zapas konopi.

— Tak jest, widzę to mój ojeze.

— Otóż synu, z tych to właśnie konopi, za po-

mocą koła obracanego przez tego chłopczynę i tych nibyto grabi powbijanych w ziemię, robotnik ten skręca sznury, których używają do robienia zabawki, tak tobie samemu jak i twojej siostrze tyle rozrywki przynosząc.

— Aha! sznur — sznur — o! piękna to gra, jakże ją lubię!

— Nie tylko ty, ale każdy młody w grze takiej znajduje upodobanie, poczynając od dziecięcia trzyletniego, co za ledwo pierwszych kroków swoich doświadcza, aż do dorosłych chłopczyków którzy grą tą w zręczność się wprawiają. Ja sam, czyliż jej nie lubiłem? miłe wspomnienie roskoszy, jakiej ztąd

w dzieciństwie mojem doznawałem, a dziś, z radością widzę jak w tobie, przez to ćwiczenie ciała, członki twoje nabierają mocy, gibkości i wdzięku. Twoja mama, naprzód już cieszy się kształtną i zgrabną figurką, jaką przewiduje ze skoków z taką zręcznością wykonywanych przez siostrę twoją. Wiesz więc, że gra w *Sznur* właściwą jest waszemu wiekowi. — Piastunkom tylko, zbyt troskliwym o powierzone dozorowi ich dzieci, zabawka ta sprawia nieprzyjemność; — ależ bo to biedne dziewczęta, ja położenie ich pojmuje.

— Zobacz je tylko w ogrodzie, do którego z matką waszą uczęszczacie dla użycia świeżego powietrza i rozrywki, a ujrzysz jak one zmuszone bezustannie w koło obracać sznurem, któren wy rokosznie przeskakujecie. — Czyli ty sądzisz że ich to nie utrudza? — Właśnie oto idziemy do ogrodu, na spotkanie twojej matki i siostry, przypatrzysz się tam, jak te biedne piastunki, z potem czoła oddają się dla was, tej utrudzającej posłudze, ich trudem zasepione twarze, w jakiejże są sprzeczności, z wesołością po-

wierzonych im dzieci. Istotnie widok ten, mimowolnie pobudza nie raz do śmiechu.

— Cóż w tym dziwnego kochany Ojcze, wszakże ażeby skakać przez *sznur wielki*, koniecznie potrzeba ażeby ktoś inny nim obracał. Na pensyi, my! co nie mamy piastunek, tak, jak panienki, jeden drugiemu w obracaniu *sznurem* posługuje; los roztryga, kto pierwszy ma zaczynać a następnie, jeden drugiego wyręczać musi.

— Wprawdzie przyjemna rzecz grać w *sznur wielki*, ale też on nieraz narobi niemało kwasu.

— *Kwasu? kwasu?* cóż to ma znaczyć to szczególnie wystowienie się.

— To się ma znaczyć, iż obracając nim zbyt szybko, ten co przez niego skacze, nie mogąc obrotom nadążyć, zaczepia się nogą, buch o ziemię; ale ja, ja kochany ojcze, pewny siebie jestem.

— Tam do kata! i tyż to malcze uważasz siebie za najzręczniejszego?

— Dla czegoż nie? wszakże to ja robię tak zwa-

ne po naszymu *krzyże rycerskie*; oho! my nie dreptamy tak jak owe małe dziewczynki, my! nasze skoki są daleko trudniejsze. — Małe dzieciaki przystępują do tej gry przez skakanie w miejscu, ależ to dzieciństwo; — w tym sztuka, ażeby w biegu obracając rozmaicie *sznurem* przeskakiwać go bez zmylenia się.

— Ale ja uważam, że i twoja siostra wykonywa toż samo z wielką zręcznością.

— Tak, ależ jakie to ona robi skoki? oto w miejscu, i za każdym obrotem *sznura* skok jeden: co mi to za sztuka!.... niechno ona potrafi za jednym przerzuceniem sznura przeskoczyć dwa i trzy razy, otóż to jest dopiero umieć grać w *sznur*.

— Ale, ale, wspomniałeś mi o jakimś *krzyżu rycerskim*, wyjaśnij no mnie, cóż to za zjawisko?

— *Krzyż rycerski* zależy na tém, ażeby w biegu skrzyżowawszy ręce ze sznurem, jeszcze przez niego przeskoczyć; — są między nami zuchy, co dwa i trzy razy przez tak skrzyżowany sznur przeskaczą.

— Bravo! a więc ty dumny swoją zręcznością

ze wzgardą spoglądać musisz na małe dziewczynki. — Otoż właśnie wchodzimy do ogrodu i jakby na powitanie nasze gronko malutkich panienek skaczących przez sznur; uważaj ich, ale zarazem uważaj i te biedne piastunki, o których ci wspominałem.

— Ach! prawda, prawda, jakżeż one pomęczone!

— Tak.... ale za to dziewczynki....

— Co za gromada liczna! a ileż chałasu! więcej niżeli u nas na pensyi.

— Przysłuchajmy się też im.

— Adelko! omyliłaś się, zaczepiłaś nogą za sznur.

— Przepraszam moja Julciu — nie wmawiaj, boś ty właśnie to zrobiła.

— A moja Adelciu, to nie grzecznie zapierać się tego co na własne oczy widziałam — oto lepiej wiedz, żeś ty niezręcznie skoczyła.

— Jeśli tak sądzisz, więc dobrze.... zabieram mój sznur i nie chcę bawić się z takimi co wmawiają.

— No, no, panienki, zgoda! nie spierajcież się

przecie; ani jedna, ani druga o sznur nie zawadziła, ale on zaczął się o kamień, którego oto widzicie. Zaczniemy grę na nowo, i nie traćcie sposobności popisywania się z tą zgrabnością, która się wam tak ładnie udaje.

— Dziękuję ci kochany ojcze, że je pogodziłeś, bo przecie rozpoczęły na nowo skakanie, a to tak ładne. Ależ piastunki, które sądziły że ręce ich na chwilę odpoczną, jakże się teraz zasmuciły. Ach! mnie to, mnie potrzeba, ja gdybym obracał sznurem, umyślnie, na złość ciąglebym im mylił.

— Toś mi to grzeczny kawaler, jak uważam.

— Ależ nie, mój ojcze, przyznaję, że jak na nich, to dosyć zgrabnie skaczą, ale czyliż można porównywać takie drygania, z grą naszą, nas, chłopców!

— Gdybyś był grzecznym, jakim być powinieś, nie śmiałyś wymagać od malutkich panieneczek ani *podwójnych i potrójnych skoków*, ani tak nazywanych przez ciebie *krzyżów rycerskich*.

— Prawda, mój ojcze, zapomniałem że ja je-

stem chłopcem! ale, czy nie wiesz przypadkiem kochany ojcze, kto to tak piękną grę wynalazł?

— Chcesz wiedzieć o tym? ciekawość twoja cięsz, mnie, bo przekonywa że pragniesz nauki, jednakże niech ciekawość twoja ogranicza się na tym tylko, co od rodziców, lub bardzo zacnych ludzi, dowiedzieć się możesz; bo ciekawość twoja zaspokojona przez ludzi złych, ani ciebie oświeci, ale owszem zgubić cię może. Chcę ci więc na pytanie twoje odpowiedzieć. — Słuchaj jaki miał być początek gry w *sznur*, jeżeli tylko wszelkim podaniom ludzkim zaufać można.

— Za bardzo dawnych jeszcze czasów pewien król połajał dworzanina swego za nieposłuszeństwo. Błazen, jakich w owych wiekach zwykle przy wielkich dworach trzymano, obecny temu połajaniu, ośmielił się wtrącić także swoje trzy grosze, mówiąc: Mój Panie, skoro Król każe, należy słuchać.

— Król, pragnąc zadrwić i ukarać Błazna, wtrącającego się w nie swoje rzeczy, bo taki koniec jest każdego, co się miesza do tego co do niego

nie należy, rzekł mu: „Gdybym też na przykład rozkazał powiesić się tobie samemu, mój posłuszny sługo.

— Jednej chwili, bez namysłu, wykonałbym rozkaz twój Najjaśniejszy Panie.

— A więc dobrze! bierz sznur, idź na dziedziniec i natychmiast, w moich oczach, na tym oto drzewie, masz się powiesić.

— Słucham rozkazów Twoich Najjaśniejszy Panie, rzekł odchodzący w tej chwili błazen, z wielkiem jednak pomieszaniem, bo wiedział że z tego kłopotu, jedynie szczęśliwy wybieg uratować go zdoła.

— Król otoczony dworzanami, stanął przy otwartym oknie, a biedny błazen, wśród przenikającego zimna udał się na dziedziniec, trzymając w ręku sznur we dwoje złożony. Zbliżywszy się pod sam pień drzewa, spojrzał na najbliższą gałąź, i stanawszy naprzód jak wryty, zapewne dla ułożenia figla jakiego, nagle ni z tego ni z owego, począł ręką ze sznurem wywijać w koło siebie.

— A ty co robisz, zawołał Król.

— Najjaśniejszy Panie — oto właśnie ta ręka zziębła mi, a ufam iż nie wymaga Wasza Królewska Mość, abym z ziębnętą ręką zakładał sobie sznur na szyję, wykonałbym to bowiem niezgrabnie.

— A więc rozgrzej się, odrzekł Król:

— Dzięki! — ależ oto na nieszczęście i druga ręka skościła mi od zimna. To rzekłszy rozkłada sznur, bierze go obudwiema rękami za końce, a środkiem podzucając sobie pod nogi, przeskakuje go. Powtarzając to kilkakrotnie, a do tego dosyć zręcznie, tak ubawił tym Króla, że przywoławszy Błazna do siebie, rozkazał mu codziennie zabawkę tę powtarzać w oczach swoich.

— A to prawdziwie rzecz zabawna! a więc ojcze bądź łaskaw kupić i dla mnie *sznur*! bo ta historyjka niezmiernie zachęciła mnie do skakania.

— Ucieszył się w duchu ojciec, że dowcipny syneczek tak zręcznie podejść go potrafił i w nadgrocie, wracając z ogrodu w pierwszym z zabawkami sklepie, kupił dla niego sznur kolorowy, z pięknymi wytoczonymi rączkami na końcach.

HOPKI CZYLI SKOK BARANI.



az, dwa, trzy! — tak komenderują chłopcy rozpędzając się kolejno do skakania. W grze tej, idzie im głównie o to, któren z nich ma najpierw schylić się, ażeby inni przeskakiwali go. I w grach dziecinnych są pewne prawa i przepisy, których przekroczyć nie wolno. Uczcie się dzieciutki za młodu szanować te błahe prawa, aby gdy dojrzejecie i staniecie się ludźmi, umieliście szanować prawa święte władzy i towarzystwa w którym żyć macie.

— Takim sposobem gra się rozpoczyna:

— Grający, oznaczają sobie w pewnym oddale-

niu, rów lub baryerkę, mające służyć za cel; następnie z jednego stanowiska i na jedną komendę wszyscy rozpędzają się, ażeby dobiegłszy mety przeskoczyć ją; ten zaś, któren ostatni do mety przybywa, musi stawać pierwszy do *Barana*.

— Taką to przygotowawczą naukę udzielał Henryczek oddawna już osiadły na pensyj uczeń, nowo przybywającemu Edmundowi, ażeby go przygotować do dalszych postępów w tej grze. Edmund ukończył był już rok trzynasty, a któżby uwierzył temu, że nie miał żadnego wyobrażenia o *Skoku baranim*! potrzeba więc, abyście znali powody tej nieświado- mości jego.



Hopki.

— Edmund od dzieciństwa był ciągle chorowitym, nie miał nigdy sił dostatecznych aby się oddawał igraszkom dziecięcyim, aż dopiero teraz lekarze pozwolili ojcu oddać go na pensję, i to jeszcze z wielu ostrożnościami.

— Dla trzynasto - letniego Edmunda wchodzącego na pensję, tak gry dziecięce jak i nauki zarówno były obcemi, szczęśliwy, że zastał na pensyi Henryczka, którego właśnie był synem przyjaciela ojca jego. Henryk był rój wiodącym na pensyi — pilny w nauce, ale też i w grach nieustraszony zapaśnik. Henryk był mistrzem rozrywek, sędzią w nieporozumieniach, pojednawcą w rozterkach; słowem był dla kolegów prawem chodzącem. Jeżeli jaka sprzeczka w zabawie wszczęła się, wzywano go natychmiast, Henryk spór rozpoznawał, zgodę nakazywał, a wyrok jego uważany był jako wydany w ostatniej Instancji bez apelacyi, a sprawiedliwość przez niego wymierzona, zaspakajała zwykle obie dwie zwaśnione strony. Błogosławiony, rzadki to sędzia którego wyrok dla żadnej strony krzywdy nie

przynosi. Szczęśliwy taki zwierzchnik, co wesołymi podwładnemi kierując ze słodyczą, żaden mu jego przewagi nie zazdrości.

— Edmund więc został polecony Henrykowi, którego przyjmując go pod swoją bezpośrednią opiekę, zobowiązał się zarazem ojcu jego, wprowadzić go w świat szkolny. Nie dla tego, że Henryk mógł być znacznie starszym od Edmunda — ale, że ten, był słabowitym, charakteru lęklivego, a nadewszystko zupełne zaniedbanie naukowe, jako skutek ciągłych chorób, w takim położeniu, bez pewnego puklerza i protektora, pierwsze chwile na pensyi, miałby zatrute goryczą.

— A więc on jest przyjacielem Henryka?

— Ten jeden wyraz zasmiał Edmunda więc, aniżeli wszelkie zakazy nauczycieli i wszelkie polecenia przełożonego pensyi.

— Tak więc Edmund żył spokojnie a nawet, mniej więc, szczęśliwie na pensyi. Dzięki za to Henrykowi, którego będąc przekonany, że uczeń bez znajomości gier i zabaw swojego wieku, kom-

pletnym być nie może, używał wolnego czasu na obeznanie wychowanka swego z *piłką* w polu — z wybiegami we *Frygę* i tajemnicami w *Obóz*, przypatrzmy się więc prelekeyom Henryka, w jaki to sposób ten młody Pedagog rozpoczął z Edmundem kurs nauki *Skoku baraniego*.

— Oto widzisz, jak partya urządza się, rzekł mu: przypatrzmy się ich grze, z którą tym sposobem obeznasz się bliżej, to zaś, czego nie zrozumiesz, ja ci objaśnić będę. Przedewszystkiem, należy ci wiedzieć, że gry w *Skok barani* są rozmaite sposoby.

— Pierwszym jest *Skok barani* tak nazwany *młynkowy*, ponieważ w nim wszyscy uczestniczący, stawając w pewnych od siebie odstępach do koła, schylają się kolejno, i ten, którego pierwszy stosownie do losu przeskoczony będzie, prostuje się i skacze przez schylonego sąsiada, i to odbywa się ciągle do koła tak, że każdy po szczególe jest przeskakiwanym i przeskakującym i to jest właściwym *Skokiem baranim*.

— Teraz uważaj partyę, która się tam dalej urządza; grać oni będą w innego rodzaju *Skok barani*, którego mniej zabawny a nierównie więcej utrudzający od poprzedzającego, ma u nas nazwę *Węgorza*. Gra ta odbywa się następującym sposobem, posłuchaj tylko cierpliwie.

— Z chęcią, odrzekł Edmund nadstawiając chęć wie rozwarte uszy, spoglądając z uczuciem czi i podziwienia na Henryka.

— Uważasz więc, jak oni, ujawszy chustkę za dwa przeciwne rogi, zwijają ściśle w jeden podługowaty węzeł, naturalnie, chustka ta zwinięta, musi być grubsza we środku, aniżeli w końcach, przybierając tym sposobem formę, niejako węgorza, i dla takiego podobieństwa, grze tej nadano nazwę podobną, zresztą węgorz ten, w partyi tego rodzaju gra tylko podrzędną rolę. Widzisz go położonego w poprzek ścieżki którą przebiegać mają; służy on wyłącznie za metę i nie wolno jest dotknąć go, pod karą stawienia się na miejsce *Barana* to jest tego, którego schylony, inni go przeskakują. Skoro, ile mi się

zdaje, obeznałem cię już z najważniejszymi wiadomościami przygotowawczemi, postąp dalej i uważaj jak będą samą grę wykonywać, a to cię najbliżej z nią obezna.

— Zwróć naprzód uwagę, jak ten, przez którego skakać mają, zgina się we dwoje, ustawiając się tuż przy *węgorzu*. Ależ nie stawa on w miejscu w którym mu się podoba, odległość ta musi być wymierzona, co się tak odbywa: prawą nogę przystawia w równi z *węgorzem*, lewą nogę do niej przykłada w podłuz i prawą nogę cofnąwszy, znowu ją za lewą nogę stawia w poprzek, i tu znak robiwszy na ziemi, którego od węgorza tym sposobem odległy będzie na przeszło półtorej stopy.

— Na tem coś słyszał w tej chwili, polega cała ważność i trudność gry.

— Zaczynając, umawiają się przedewszystkiem na ile kroków skakać mają. Jeżeli umówią się na 6, 7, lub 8, wypada, ażeby grający skacząc przez nachylonego, licząc od miejsca *Węgorza*, takich samych odległości, które jak widziałeś wymierzał no-

gą, przeskoczył dalej 6, 7 lub 8. Wszakże, rzadki jest wypadek, ażeby wśród tylu grających nie znalazł się taki, którego przeskakując *barana*, nie spadł na *węgorza*, lub na miejsce pomiędzy *węgorzem* a *baranem*, jeżeli ten ostatni zbyt oddalonym od *węgorza* będzie.

— Otóż w taki sposób przegrywający, zajmuje miejsce *barana*. To objaśnienie połączone z patrzeniem jak to jest wykonywane, powinny cię obeznać z tą grą dostatecznie.

— Wybornie kochany Henryku.

— Teraz Edmundzie nie tylko patrz ale i przysłuchaj się ich grze: otóż podobno już i sprzeczka nawet.

— Jestem już w *szustym*! zawołał Wiktor czyniwszy skok lekki. Nie oszukuj! krzyknęli inni, i zbliżając się śledzili skok Wiktorka. Co! ja oszukuję? dudki! — Aha, ty *mydlujesz* wrzasnął jeden z graczy — kłamstwo! — Tak! — Henryku! wszak prawda że zmydłował.

— Henryk jako uprzywilejowany wyrokodawca, wniósł się w tę sprawę, i rzekł: nie posądzaj-

cie dokąd pierwój albo siebie o słuszności, albo Wiktora o winę nie przekonacie, tem bardziej że to jest rzecz nader łatwa. Naznaczcie miejsce w którym stanął Wiktor, i dozwólcie mu na nowo skakać, a ujrzycie czy on w *sześciu* zmydłuje.

— Ależ Henryku, zapytał Edmund, co to ma znaczyć ten wyraz *zmydłował*, ile że on rozśmiesza wszystkich.

— *Zmydłować* jest to nie doskoczyć do zamierzonej odległości za *Węgorzem*, to jest jeżeli kto zadeklaruje 8 a przeskoczy 7 lub 6.— Pomyłka zaś ta zależy albo od siły skaczącego, albo jeżeli *baran* wymierzając nogami odległość od *węgorza* trzewiki ma za długie, lub nogę do nogi nie przytyka szczelnie, stąd tworzy się odległość większa, a tém samém trudniejsza do przeskoczenia. Czasem nierzetelny *baran* sam nieznacznie odsuwa się od *węgorza*, ażeby przez to, utrudzając innym skok, snadniej mógł być złuzowanym.

— Henryku! rzekł nadbiegający chłopczyk, każ ustąpić Julianowi, on mię w *baranim skoku* przyclapił, a to niewypada w grze.

— Henryk zgromiwszy Juliana, odwrócił się do Edmunda, i rzekł mu: Czy uważasz jak oni w grach mają swoje wystowienia szczególne, tam słyszałeś o *zmydłowaniu*, a tu słyszysz o *przyclapieniu*. Ażebyś zrozumiał ten wyraz potrzebaby ażebyś go nie słowami ale czynem objaśnił, aleś ty słabowity i pierś twoja nazbyt delikatna, mógłbyś uciepieć wiele na takim doświadczeniu. Otóż, o ile będę mógł, o tyle cię przynajmniej objaśnię. Skaczący przeskakując *barana* dotyka się zwykle lekko rękami pleców jego; lecz jeżeli przeskakujący jest nierzetelnym i złośliwym, wtenczas, zamiast dotknięcia się pleców *barana* lekko samemi palcami, on owszem w skoku opiera się z całą siłą pięściami a nawet zatrzymuje się przez chwilę przyniatając go całym ciężarem ciała swego; tak swawolne przeskakiwanie może stać się przyczyną wielu smutnych wypadków; są i między nami tacy trzpioty, ale też mają w zysku to, że nikt z niemi grać nie chce.

— Teraz Edmundzie obeznanyś z teorią gry,

potrzeba ci praktyki, przyłącz się więc do grających ile że nowa partya rozpoczyna się.

— W miesiąc później, Edmund którego dotąd słabe zdrowie i wątłe siły, nagle zaczęły nabierać jedności i mocy, był jednym z najzapaleńszych zwolenników *Skoku baraniego i węgorza*.

— A że Henryk jak sam nie lubił umieć coś przez połowę, tak i nie chciał ażeby wychowaniec jego Edmund w podobnymże niedostatku zostawał, objaśnił go o początku gry tak sumiennie, jak sam o tym od starszych słyszał. Powiedział mu więc, że gra w *Skok barani* znaną już była młodzieży jeszcze w wiekach średnich, ale ją wtenczas na-

zywano *Łami-karczek*. Nazwa ta służyła dla grających zarazem i za przestrożę i napomnienie do ostrożności, nazywano ją również i *trzeszczy główka*. Nakoniec dzisiaj nazywają ją jedni *Hopki* inni *Skok barani*, ta druga nazwa jest skutkiem dosłownego przetłumaczenia nazwy francuzkiej (*Saute mouton*) która zapewne dla téj przyczyny grze téj jest nadana, że, kiedy na pastwisku rozproszone barany, czujny pies owczarski, szczekaniem spędza do gromady, te zwykle w pośród takiego popłochu, skaczą jeden przez drugiego, ażeby snadniej ujść mogli boleśnych napomnień, jakimi kły srogiego brysia ciągle im grożą.

ŚLEPA BABKA.



rono malutkich panienek i chłop-
czyków zebrało się w salonie Pani
Starościny Dobrzyckiej, Damy po-
wszechnie uwielbianej, blisko ośm-
dziesięcioletniej Matrony, która przy
schyłku dni swoich szczególne u-
podobanie miała w trzpiotactwie,
igraszkach i szczebiotaniu małych dzieci. Zaczęła
Pani przeznaczyć dzień jeden w tygodniu na
zbieranie się liczego gronka, tych małoletnich
gości swoich. Zbieranie się takie jaką radością
upajało duszę i serce tej, która tak namiętnie ko-
chała wesołość i niewinną rozpustę dzieci.

— Jakież to szczęście bawić się u naszej uko-
chanej Babuni, powtarzały dzieci, które ją przez
miłość ku niej tem szanowném mianem tytułowały,
z jakąż niecierpliwością wyglądamy dnia przezna-
czonego na nasze przyjęcie. Bo też dzień ten uwa-
żały istotnie za święto uroczyste. Tam przynaj-
mniej (mówiły) wolno nam bawić się według upo-
dobania, i nikt nie wzbrania nam krzyczeć, śmiać
się, biegać, ani się użalać że niepokoimy mu głowę,
jak na przykład Pan Hardoin nasz nauczyciel języka
francuzkiego, ale też my wiemy dla czego nikt tu-
taj nie zabrania nam hałasować, bo kochana Babu-
nia to lubi.



Ślepa Babka.

— Dla tego też, z niewypowiedzianą radością ze wszelkich stron okolicznych zgromadzały się działki w dniu oznaczonym od Babuni, żadnego tam nie brakowało, żadnego na ten dzień główka nie zabolala, jak to przytrafia się czasem w dniach nauki, wszystkie się znały i wszystkie się kochały na wzajem, bo ich wszystkich razem jednakowo Babunia kochała.

— Właśnie też opisuję ten dzień uroczysty i ujrzymy działki zebrane w salonie Pani Starościny.

— I cóż będziemy dzisiaj robić?

— Od jakiejże gry rozpoczniemy wieczór dzisiejszy?

— Te były główne pytania, które zajmowały młode zebranie, kiedy już ujrzało się w zupełnym komplecie.

— Kawalerowie i Panny! odezwał się chłopczyk z pulchnym policzkiem, proponując zabawkę w *lanego konia*, będzie to gra zupełnie nowa.

— W *lanego konia*! i cóż ty mówisz Pawełku, odrzekła choża blondyneczka z loczkami, taka gra

nieprzystoi wcale dla nas panienek, ale tylko dla was chłopczyków na pensjach. Oto lepiej bawmy się w chowanego.

— Byłoby to nie złe, odezwał się inny chłopiec, ależ w tym salonie nie ma miejsca do ukrycia się, mamyż chować się pod meblami wszakże tu firanki są tylko jedynym miejscem, gdzieby ukrywać się można.

— A więc grajmy w co innego; spieszmy się, szkoda czasu rzekła pragnąca réj. wodzić brunetka z włoskami w górę po Chińsku zaczesanemi, otoż ja proponuję ślepą Babkę.

— Zgoda! Zgoda! ślepa Babka — tak ślepa Babka zawołało jakby jednym głosem całe towarzystwo.

— Przyniesiono natychmiast chustkę, złożono ją w podłóż i uczyniono z niej zawiązkę, ale, ale, zapytano, kto ma zaczynać?

— Los niechaj to rozstrzygnie zawołał chłopczyk.

— Przepraszam, bynajmniej, odparła panienka, to do chłopczyków należy być pierwszymi, grzecz-

ność nakazuje, żeby oni sami ciągnęli losy między sobą, a wy, spodziewamy się, jesteście grzecznymi.

— No, no, nie potrzeba tego wybąknąć jakiś pyzaty chłopczyk.

— Z tego wywiązała się sprzeczka między obiema stronami, która grożąc zamieszaniami ogólnym zdawała się zniweczyć *plan ślepej babki*. Szczęściem Babunia wmieszała się pomiędzy zwaśnione strony, i według wszelkiej sprawiedliwości wydała wyrok, że obiedwie strony tak chłopczyki jak pаниenki powinny mieć udział w losowaniu. Niechaj więc los zawiąże pierwszemu oczy. Otóż dzieci moje, ufajcież waszej kochanej Babuni, wiecie jak ja was wszystkie, wszystkie za równo kocham, ja nie dopuszczę żadnej ani różnicy, ani niesprawiedliwości między wami. Ja sama los ciągnąć będę.

— Usunęła się na stronę Babunia, i w kryształowym naczyniu napełnionym wodą umaczawszy jeden palec, i wróciwszy do dzieci z podniesionymi w górę obiedwoma rękami, rzekła — no, moje dziecieczki, zgadnijcie kóren z palców moich był zamoczony w wodzie?

— Na takie zagadnienie, dalejże działki obierać sobie paluszki Babuni, ta ten, tamten ów, nuż wołać poczną; Babuniu! Babuniu! oto ten mój paluszek, o ten mój, i każde na innym palcu los swój pokładało.

Po rozebraniu pomiędzy siebie palców, Babunia rzekła poważnie, Pawełku, tyś wybrał zamoczony palec, poddaj się przeto losowi, i dozwól oczki sobie zawiązać.

— Na taki wyrok, całe to drobne zgromadzenie ozwało się chórem, to ty, to ty Pawełku, występujesz najpierwszy, dalej, dalej, wiążmy mu oczy.

— Z niechęcią wprawdzie dał sobie Pawełek zawiązać oczy, ależ darmo, los, kóren sobie sam obierał, tak rozrządził.

Dla doświadczenia, czyli Pawełek z pod chustki nie przegląda, jeden z dowcipnisiów zbliżywszy się ku niemu, podniósł dłoń w górę z której dwa tylko paluszki wyprostował, i pyta się Pawełka ile palców podniesionych?

— Pięć odrzekł Pawełek bez namysłu.

— A więc dobrze, zawołały dzieci, on nic nie widzi, teraz możemy już zaczynać.

Zasługuje na pochwałę dowcip w doświadczeniach tego rodzaju. Bo w istocie, jeżeli gracz jest nierzetelnym, daje sobie zawiązywać oczy tak, iż z pod chustki, choćby cokolwiek widzieć mógł, nie powie on nigdy istotnej ilości podniesionych palców, ażeby się nie zdradził; gdy tymczasem, gracz sumienny kórego oczy ściśle zawiązane są, może przypadkiem odgadnąć liczbę palców przedstawionych sobie.

Krótko mówiąc, Paweł był graczem sumiennym; i istotnie z pod zawiązki nie widzieć nie mógł.

Po takowym przygotowaniu, jeden z chłopczyków ujawszy go za rękę, obrócił go w miejscu dwa lub trzy razy, i puszczał nagle, zawołał:

Goń teraz za *ciemnem swoim*.

Ale cóż z tego, skoro wszyscy grający schronili się w jeden i ten sam kąt salonu, a Pawełek na próżno wyciągnawszy ręce, śledził w odwrotną zu-

pełnie stronie, nagle zatrzymuje się i mówi: Ale, ale, nie wymówiliśmy sobie w jaką mamy grać *ślepa babkę* czyli *siedzącą* czyli *gonioną*.

W samej rzeczy, jest dwa rodzaje tej gry. W *ślepej babce* siedzącej, wszyscy gracze zasiadają krzesła ustawione do koła; ten zaś, kóren ma oczy zawiązane, obchodząc w koło dotyka się każdego, i jeżeli odgadnie nazwisko jego, już zawiązkę z ocz swoich zdejmuje i przepasuje nią oczy odgadniemu.

W *ślepej babce gonionej* przeciwnie, bo ten kóren ma oczy zawiązane uganiam się za rozproszonemi tu i owdzie graczami, a kórego uchwyci ten zastępować go musi.

— Właśnie, odpowiedziano, że w *ślepa babkę gonioną* bawimy się. Pawełek przez ten zręczny wybieg poznał z głosu w której stronie salonu znajdują się towarzysze, zwraca się nagle jak strzała w tę stronę, ale ci zręcznie przemknawszy się to około ścian to przed rękami Pawełka już znajdowali się w innej stronie. Tak skacząc, i wracając się

w różne strony biedny chłopczyk z zawiązanymi oczyma, obalił jakiś mebel. Otóż dowcipniś korzystając z tego wypadku, woła:

— A czemuż to nie ostrzegacie mnie, wszakże wiecie, że gdy *ślepa Babka* zbliża się do okna, mebli lub ściany, inni powinni wołać wtenczas *ogień! ogień!*

— Będziemy, będziemy już teraz wołały, odrzekła młoda panienka, która dla uskubnięcia Pawełka, jak tego gra dozwala, zbliżyła się tuż do niego.

Paweł baczny i zręczny, korzysta z momentu, rozpuszcza nagle ręce i chwyta biedną dziewczynkę, co tak rozmyślnie wpadła w sidła. Zawiązano więc jej oczy.

Już pewną chwilę uganiała się panienka za nową zdobyczą, któraby ją wyręczyć musiała, gdy w tym wchodzi do salonu ktoś obcy, i w chwili kiedy przechodził około utrudzonej już *ślepój Babki*, ta, namacawszy poję sukni jego, chwyta go za nią i uradowana woła: Mam cię! mam cię! zrywając zawiązanie z oczków; ale przejrzawszy, krzyknęła z pomieszanem, ach! to pan Hardoin!....

— Pan Hardoin! powtórzyły zasmucone dziatki, bo sądziły, że ten nauczyciel języka francuzkiego przyszedł wezwać ich do lekcji, gdy on pragnął tylko odwiedzić panią Starościnę.

— Ja to właśnie, ja kochane dziatki, odrzekł pan Hardoin; tak, nie ma kwestyi, uchwycony wyraźnie zostałem, prawidło gry nakazuje aby mnie oczy zawiązano; poddaję się bez oporu memu przeznaczeniu, ale pod jednym warunkiem.

— A jakim? zawołały dzieci.

— Oto, ażeby które z was opowiedziało mi z kąd pochodzi i jaki początek mogła mieć ta wesoła gra w którą się bawicie?

Na takie zagadnienie zamilkły dzieci, bo żadne o tém nie wiedziało. A więc pan Hardoin jako pedagog, tak się odezwał do nich.

— Źle to moje dziatki nie znać znaczenia tego, czego używamy, bawicie się wesoło w grę, a nie wiecie jej pochodzenia. Słuchajcie więc:

— Wszelkie gry, jakie wam moje dzieci, wolne od nauki chwile uprzyjemniają, pochodzą mniej więcej

z Francji, którem wy tutaj dajecie inne tylko nazwisko. Grę obecną nazywacie *ślepą Babką*, że ślepą na to się zgodzę, bo nie widzi, ależ Babką? poważna mi to Babka, która mnie na przykład w tej chwili uchwyciła! Babunie są poważne, a tu potrzeba być wesołym trzpiotkiem, jak nie przymawiając nikomu, wy na przykład. Francuzi przeciwnie, od których właśnie gra ta pochodzi nazywają ją *Colin-Maillard*; posłuchajcie więc dla czego. Gra ta, tak wesoła, hałaśliwa, wymagająca tyle ostrożności z jednej, ile wybiegów z drugiej strony, ma swój początek czysto rycerski. Jan Colin, słynny rycerz przed ośmiuset przeszło laty, był panem krainy Leodyjskiej, którą dziś nazywają Liège. Według ówczesnego sposobu uzbrajania się, rycerz ten używał za główną broń ciężkiego obucha, któren po francuzku nazywa się maillet, i ztąd nadano mu przydomek Maillard. W jednej z potyczek, walcząc przeciw hrabiemu Louvin, wpadł w taką zawziętość; iż lubo w czasie bitwy

oczy miał wybite, kierowany jednak przez swego garmka, placu bitwy do ostanka nie opuszczał, zmieniając strasznym swoim obuchem, do koła siebie nieprzyjaciół. Za taki dowód niestłuchanego mężstwa, Robert król francuzki, w roku 999 pasował go na rycerza, co wtenczas uważano za najwyższy zaszczyt.

Otóż więc dla uwiecznienia tej nadzwyczajnej, bo na oślep walki, dawni Francuzi wymyślili tę grę, nadając jej nazwisko wstawionego rycerza *Colin-Maillard*. Widzicie więc że gra ta, przetrwawszy półdziewięta wieku, nie jest nową. A teraz, czy zaspokojone jesteście opowiadaniem mojem? czy uwalniacie mnie od zawiązania oczów?

Dziatki podziękowawszy najserdeczniej za tak ciekawą powiastkę panu Hardoin, i uradowane że nie przyszedł do nich z lekcją języka francuzkiego, tém chętniej uwolniły go od zawiązania oczów; panienka, która go uchwyciła, sama sobie napowrót oczki zawiązała i gra, jak może być najweselszej, ciągnęła się dalej.

IV.
M O R Z E.

Nosłuchajcie Działki a opowiem wam ciekawą powiastkę, prawil poważny Ojciec do dzieci bawiących się w ogrodzie Saskim w grę jakąś, nadzwyczaj utrudzającą, bo w oznaczonych kryskach na ziemi, chłopczyna musiał skakać na jednej nodze i nią jeszcze podrzucać i kierować kamyczek ażeby wpadł w oznaczone miejsce. Oto wypadek który się wydarzył we Francji.

W niedzielę, pan Dorval pragnąc mieć synka swojego w domu, posłał po niego na pen-

syą; służący powróciwszy przyniósł tylko bilecik od Wiktorá do Ojca, bo sam, w dniu tym, za karę na pensji pozostać musiał. Pan Dorval omylony w nadziejach, że dzień ten przepędzi z ukochanym synkiem, na dalekiej za miastem przechadzce, z niesmakiem, a nawet z pewnym oburzeniem przełamał pieczętkę listu następującej treści, którego wszakże liczne błędy ortograficzne, pomimo, że Wiktor był uczniem już piątej klasy, i uczył się nawet łaciny, pozwolę sobie poprawić, zachowując jego oryginalną prostotę i wyrażenia szkolne.



Morze

List ten był następującej osnowy:

Kochany Ojcze!

„Nie oczekuj na mnie dzisiaj, gdyż nie mogę ucałować cię osobiście z powodu, że jestem w kozie! Tu, aż do mnie dochodzi głos twój szanowny, mówiący: Biedne chłopczysko, jakimże figlem zastażyło na karę? Bądź spokojnym mój ojcze, to bzdurstwo, cała rzecz, małe nie porozumienie z Karolem. Wprawdzie łepski to chłopak ten Karolek, ale szłałaput jak to sam osądzisz i zaręczam cię naprzód, że w obecnem zajściu naszym, wina jest na jego stronie. Wreszcie, on sam to przyznać może, jako obecny towarzysz moich rekolekcyj; oto rzecz cała, że poszturgaliśmy się *troszeczkę*. Karolek jest z podbitem okiem, a ja, z rozkrwawionym i zapuchłym nosem. Nie przerwało to jednak przyjaźni naszej, bo honor nakazuje, ażeby dobrzy koledzy, po pozubieniu się, rękę na zgodę podali sobie, a karę za to, swoją drogą, bez szemrania znosili. Nie taję jednak, że boleśnie mi być zamkniętym na ten dzień, w którym tyle przyjemności obiecywałem sobie. Otóż

muszę ci wyjaśnić kochany Ojcze powody tej sprzeczki naszej. Ponieważ w ostatni czwartek cały dzień deszcz padał, nie mogliśmy wyjść na zwykłą przechadzkę, żeby to wynagrodzić, dozwolono nam zabawki w salonach pensyi. W takim zdarzeniu bawimy się w gry ciche, spokojne i (jak je nazywamy), tojest w arcaby lub szachy, jeżeli kto grać w nie potrafi. Dla głowy mojej, gry te jako zbyt zawikłane, nie są przystępne i dla tego wraz z Karolkiem obraliśmy grę nader łatwą,

Opiszę ci ją kochany Ojcze: nasamprzód zakresła się na papierze kwadrat, któren przedziela się dwiema linjami jedną w poprzek, a drugą w podłóż, przez co utworzą się cztery mniejsze kwadraty, dalej, w tym wielkim kwadracie od rogu do rogu przeprowadzają się na krzyż dwie linie, które, ma się rozumieć, przetną się z sobą w samym środku kwadratu; tym sposobem owe małe kwadraty będąc przecięte, zamieni się każdy we dwa trójkąty przytykające podstawą do siebie. Z tego opisu łatwo osądzić możesz kochany ojcze, iż na pensyi nie próżnuję, skoro tak

widoczne postępy w geometryi robię. W tak poprzecinanym różnemi linijami, w zdłóż, w poprzek i w przekątnią, kwadracie, robią się kółka na każdym punkcie w którym linja środkowa dotyka brzegów kwadratu, z kąda utworzy się kółek ośm, zaś w samym środku gdzie wszystkie linje przecinają się na wzajem, kreśli się kółko największe. Rzecz zależy na tem, ażeby grający mając po trzy zwykłe kostki w ręku, i ustawivszy je na trzech kółkach kwadratu od swojej strony, posuwając kostki po linjach, starał się dostać do środkowego kółka, czego właśnie przeciwnik jego zagradzając mu drogę swojemi kostkami, nie powinien mu dozwolić. Jest to gra podobna cokolwiek do harcabów, ale nie równie łatwiejsza. Właśnie w ciągu tej gry zaszła owa nieszczęśliwa sprzeczka z Karolkiem; ja nazwiska jej nie znałem, on utrzymywał, że się nazywa *morze*. Zaprzeczyłem mu tego, bo ja znam wybornie grę *w morze*, a która jest zupełnie inna. W moją grę *morza* bawić się tylko można wśród pogodnego dnia letniego i to

tylko na dworze. Trudno mi było upartego przekonać, dowodziłem mu, że prawdziwa gra *w morze* tak się wykonywa. Na suchej ziemi oznacza się kijkiem wyraźną bardzo długą, a wąską ramę na kształt drzwi, u spodu płaską, u wierzchu zaokrągloną, spód płaski tej ramy przeżyna się liniami w poprzek na kilka oddziałów, tak, iż uważając od strony grającego pierwsze trzy oddziały nazywają numerami 1, 2, 3; czwarty oddział, przerzyna się na krzyż dwiema liniami, potem następuje oddział piąty zwany *morzem*, w którym nigdy noga grającego postać nie powinna, gdyż w przeciwnym razie tonie, na koniec idzie oddział szósty i siódmy, zamykający ramkę. W tych ostatnich przegrodach robią się niby rysunki, w jedne; piekła a w drugie; folwarku. Mając tak urządzone *morze*, grający w pustem miejscu, to jest od strony zaokrąglenia ramy; stawia na jednej nodze położywszy przy niej kamyk lub krążek z drzewa: i tak skacząc na jednej nodze i do tego podbijając nią ów krążek, ma przebyć wszystkie oddziały, nie dotknawszy się ani no-

gą, ani kamykiem żadnej linii oznaczającej te podziały. Wreszcie, gdy przyjdzie na miejsce zwane *morzem*, musi go zręcznie przeskoczyć i kamyk przerzucić, aż na koniec dostawszy się do ostatnich oddziałów, zwanych zamkiem lub folwarkiem, tryumfuje bo wygrywa. Dotknięcie się nogą lub kamykiem którejkolwiek linii, lub morza, znaczy przegraną. Taka to gra według pojęcia mego nazywa się *morzem*, a ja, który w tej grze celuję między kolegami memi, znam ją dokładnie, zatem słusznie się upierałem.

Kiedy z równym uporem obstawałem przy mojem zdaniu, a Karolek przy swoim, nastąpiła zwada, i słówko do słówka, on ugodził mnie silnie kułakiem, a ja go nawzajem utraktowałem pięścią, i za taką bagatelkę obadwa dzisiaj siedzimy w kozie. Mniejsza o to, ale zawsze jest to szkaradnie ze strony Karolka, ażeby tak oczywisty fałsz podtrzymywać z niepokonanym uporem. Przyznaj mi więc, proszę cię o to, kochany ojeze, że słuszność jest z mojej strony, i że gra *w morze*, jest to ta którą ci opisałem, a nie taka w jaką grałem z Karolkiem. Z niecierpliwością wy-

glądam chwili oglądania ciebie, ażebym prędzej o tobie sądzić w tej sprawie mógł się upewnić, jakkolwiek przekonany już jestem, że nie inaczej odemnie zawyrokujesz. Żegnaj cię kochany ojeze i całuję po tysiąc razy, prosząc abyś nie gniewał się na mnie.

Twój syn kochający cię nad życie

Wiktor Dorval.

uczeń klasy V.

Pomimo nieprzyjemności, pan Dorval musiał rozśmiać się, czytając tak szczególny list syneczka, i dla uspokojenia ciekawości i tęsknoty jego w areszcie, odpisał mu w następującej treści.

Mój synu!

„Bardzo wielką masz słuszność, nie użalając się, i owszem z cierpliwością znosząc karę, która zbyt jest łagodną w porównaniu z czynem twoim. Taki bowiem młodzieniec, któren winy w sobie nie uznaje, i na karę za nią uskarża się, uważanym być może za zupełnie zepsutego i bez poprawy. Porządna młodzież, bijąc się między sobą, naśladuje tylko grubiańskich, bez żadnego wychowania będących uliczn-

ków. Także to! to wy tylko poszturgaliście się *troszeczkę*, jak mi piszesz, a jednak Karolek ma oko podbite, a ty nos spuchnięty, jeżeli to, nazywasz *troszeczką*, jakąż więc dasz nazwę bijatyce zabójczej? może *nieco*? Cierp' przeto w dniu dzisiejszym i proś Boga, ażebym i ja z tobą na przyszłą niedzielę podobnie nie postąpił. Wypadałoby, ażebym zwrócił twoją uwagę na niewłaściwość i niezgrabność wielu wyrażań się w twoim liście, a jakich ojciec nie szczedzący wszelkich wysiłków dla edukacji syna, w pismach i mowach jego znachodziłby nie powinien. Nie jestem wszakże mściwy, i na ten raz jeden przebaczam ci, jeżeli nie dasz nowych, a podobnych temu powodów do gniewu. Przykro mi również omylić oczekiwania twoje, w przyznaniu tobie słuszności—owszem, cała wina spada na ciebie, a Karolek najzupełniejszą ma słusność za sobą.

Omyliłeś się mocno, utrzymując, jako biegły gracz w *morze*, że ją znasz dokładnie. Właśnie gra, w jaką ostatniego czwartku grałeś z Karolką, jest istotnym *morzem*, a początek jej, u Biskajczyków, sięga

najodleglejszych starożytności, którzy jako kolonja sławnego Tyru, przynieśli ją z sobą z Fenicyi. Te małe kółeczka, o których wspomniałeś że są podkreślone na wszystkich bokach kwadratu, mają znaczenie geograficzne. Środkowe, największe kółko przedstawia Tyr, stolicę Fenicyi, miasto najświetniejsze z przemysłu i bogactw, o którym jako uczeń klasy V nie przypuszczam abyś w historii starożytnej nie czytał; owe zaś mniejsze pobrzeżne kółka, przedstawiały rozliczne po całym znanym wówczas świecie rozrzucone posiadłości Tyru.

Pojałbyś to snadniej, gdybyś miał przed oczyma rysunek gry *morza*, jak ją starożytni rysowali, a ujrzałbyś: że cała przestrzeń między małymi kółkami a środkowym, przedstawiała morze. Biskajezykowie, sąsiedzi Francyi, osiedli na północno-zachodnim cyplu Hiszpanii, a jakem ci powiedział że są z pochodzenia fenickiego, grę tę w języku swoim nazywają *las marellas*, co znaczy *morze wysp*. Z tej to biskajskiej nazwy, Francuzi przekształcili na *la marelle*, czyli *morze*. Że zaś gra ta używana przez tyle wie-

ków i przez miliony graczy, w następstwie aż do naszych czasów, uległa wielu zmianom, dziwić to nie powinno ciebie. Jestże to słusznym powodem, że mając obecnie zmienioną tę grę, aby starożytna, pierwiastkowa, miała zostać w zarzuceniu? Nigdy; sam widzisz, że lubo przetrwała tyle wieków, zawsze jest jednak przyjemną mimo swojej dawności.

Teraz masz dwa rodzaje gry w *morze*, jedno letnie z którym się ty tak chełpisz, a drugie zimowe za które właśnie siedzisz w kozie.

Nakoniec, przebaczam ci ten raz ostatni, ale na przyszłość ostrzegam cię, nie sądź nigdy z przekonaniem o samym sobie, że masz słusność w jakimkolwiek zdaniu, a nadewszystko nie bij się dla poparcia owej urojonej słuszności swojej.

Twój ojciec kochający cię zawsze,
Dorval.

Po otrzymaniu takowego listu, Wiktor zawstydział się, gdyż własny ojciec uznał niesłusność jego. Hamując jednak w sobie uczucia miłości własnej tak źle zrozumiane; jakby dla ukarania siebie, okazał list ten Karolkowi, którego po przeczytaniu go, zawołał z radością: Ach! byłem pewny, że mam słusność.

Na tem skończył opowiadanie swoje szanowny ojciec, a małe trzpiotki zwracając więcej uwagi na opisanie gry, jak na morały, rzuciły się natychmiast do poprawienia poprzednio urządzonej gry, która zbyt prosta i łatwa, bo podzielona na kilka przegródek, bez żadnych przeszkód i warunków, i polegająca na tem tylko, aby zaskoczyć do dalszej przegrody i tam kamyk jedną nogą wepchnąć, nie przypadała im więcej do smaku.

V. CZTERY KĄTY I PIEC PIĄTY.

Nadabym była, gdybyś panienka, pozwoliła mnie zabawić się z sobą; przemówiła, rumieniąc się po uszy, prześliczna dziewczynka w nader skromnej odzieży, do innej równej sobie panienki, ale w ubraniu zbyt wyszukaném i kosztowném, która z mamą swoją przyszła do ogrodu.

— Ja? ja, moja panienko nie zwykłam grywać z dziewczynkami nieznanemi sobie, odpowiedziała pogardliwie mała Hortensya, która była córką jednego z pierwszych bankierów miasta.

— Tém gorzej; przepraszam panienkę, odrzekła

pierwsza, oddalając się bez okazania ani dąsów, ani obrazy z wyniosłości Hortensyi i poczęła skakać wesoło przez sznur.

Jednakże matki obudwóch panienek, które razem na jednej ławce siedziały, a których uszu doszła ta dziewczątek rozmowa, mimowolnie zamieniły wiele znaczące spojrzenia na siebie.

Matka Julci (bo tak się uboga panienka nazywała) mogła sobie tak tłumaczyć:—Ach! pani, córka twoja pomimo świetnej powierzchowności swojej, nie ma wartości wewnętrznej, nie jest bowiem grzeczną. A jednakże pewną jestem, że nie od ciebie przejmie naukę pychy tak przedwczesnej, która obrzy-



Cztery Kąty a Piec piąty.

dliwą jest i w ludziach dojrzałych, cóż dopiero w dzieciach?

Spojrzenie Matki Hortensyi, tłumaczyło nieukontentowanie i naganę dla córki swojej, jakby powiedzieć chciało:

Nie obrażaj się Pani o pychę córki mojej, którą ja w niej ciągle ganię. Lecz niech się tylko sposobność zdarzy, a ujrzysz jak potrafię wymierzyć na nią zasłużoną karę. Córeczka zaś twoja, jest tak przyjemną, iż towarzystwo i zabawę z nią należałoby uważać za zaszczyt dla siebie.

Te wyraziste spojrzenia, jakie obiedwie Matki przesłały sobie nawzajem, wybornie od nich zrozumianemi były. Tym czasem Hortensya sama, poczyniała się nudzić, gdy w tem, trzy ładne panienki, córki przyjaciółki jej matki, które były zwykłemi towarzyszkami rozrywek Hortensyi nadeszły do ogrodu.

Ach! co za szczęście, zawołała Hortensya skacząc z radości, mam więc teraz z kim bawić się... i rzucawszy wzrokiem na wesołą i wcale o nią niedba-

jącą Julcię dodała: a przynajmniej z równie porządnymi jak ja panienkami.

W samej rzeczy, owe przybyłe trzy panienki ubrane były w axamitne burnusiki, a rączki ogrzewały bogate z gronostaj muściki; gdy tymczasem uboga Julcia okryta skromnym sukiennym burnusem, miała na rączkach kastorowe rękawiczki, które jej służyły razem i za muściki. Można sobie wyobrazić, jakie uprzedzające grzeczności okazywała Hortensya dla nowo przybytych przyjaciółek; ileż tam było całusów, uściśnień, aż nareszcie zaczęły biegać. Wkrótce jednak powróciły, bo ujrzawszy grono panienek bawiących się *w cztery kąty*, i one téjże samej gry zapragnęły.

Jakżeż ta gra pełna ruchu i wesołości, chłaniała na dworze, a w niej rozegrać się można najlepiej, ale jakaż szkoda, że nas jest tylko cztery, rzekła Hortensya.

Ach prawda! prawda! bo któż zostanie *piecem*. Tak właśnie w tej grze nazywa się osoba piąta, która stoi na środku tak długo, dokąd gracze bę-

dący na czterech w około punktach, dla urozmaicenia gry zmieniający wciąż swoje stanowiska przez nieostrożność, lub niepośpiech, nie zostawia jednego z czterech punktów wolnym, na któren ustawicznie tak nazwany *piec* czatuje, utracający zaś tym sposobem swoje stanowisko, musi stawać na środku w miejsce *pieca*.

Aha! rzekła pomyślawszy nieco Hortensya, mam już, mam, poczekajcie panienki, natychmiast temu zaradzę, myśl przewyborna.

Hortensya uważała jak Julcia ciągle rozgrzewała się o kilka kroków dalej, skakając przez ulubiony swój *sznór*.

Czy uważacie panienkę, oto tam, tak mizernie ubraną dziewczynkę, rzekła wskazując palcem na Julcię, przed chwilą śmiała mnie zapraszać do gry z sobą... naturalnie, odmówiłam, bo nie zwykłam bawić się z pierwszą lepszą nieznaną mi dziewczyną... ale teraz mogłybyśmy z niej dla nas użytek zrobić, oto postawiłybyśmy ją sobie w miejsce *pieca*.

— W miejsce *pieca*! zawołały inne.

— Właśnie, że w miejsce *pieca*, odpowiedziała śmiejąc się Hortensya, bo zbyt będzie szczęśliwa z zaszczytu być w naszym towarzystwie; ale nadewszystko wypada nam mieć się ciągle na ostróżności, ażeby nie dać jej uchwycić miejsca naszego, dosyć niech tylko raz zostanie *piecem*.

A gdyby też ona na wzajem odmówiła teraz towarzystwa swego z nami, zapytały inne.

Ale, ale, rzekła z ironią Hortensya, zbyt ona uszczęśliwioną będzie widząc mnie niby upokarzającą się, bo ja, która jej przed chwilą odmówiłam, teraz przychodzę ją niby prosić. Wreszcie moja w tem głowa, zobaczycie.

Matka Hortensyi, lubo zajęta była rozmową ze swoją przyjaciółką matką owych świeżo przybytych trzech panienek, usłyszała jednak cały ten spisek przeciwko biednej Julci. Obrażona tym postępkiem córki do żywego, postanowiła w tejże chwili skarcić ją, własną jej dumą.

Hortensya zbliżywszy się do Julci, rzekła: Panienko, ja i przyjaciółki moje zgodziłyśmy się na

zaproszenie panny do naszego towarzystwa, nie zechcesz zapewne nas nudzić oczekiwaniem na siebie.

Wdzięczną jestem, odrzekła Julcia, nie przerywając bynajmniej skakania przez *sznur*, lecz bawiąc się przyjemnie sama, jak widzieć to możecie, nie radabym sobą komukolwiek robić jakiej zawady.

Odpowiedź tak sucha, a przecież grzeczna, nie miłe wrażenie uczyniła na Hortensyi; nie przypuszczała bowiem nigdy, ażeby jej odmówiono, i przez to samo złośliwej zmowy dokonać nie mogła, dla tego też powtórzyła swoje nalegania.

Czyliż panienka obrażona za moje odmówienie przed chwilą, zrobiłam to dla tego, że wtenczas nie miałam chęci do zabawy.

Tak samo, jak w tej chwili mnie właśnie bawić się nie podoba, odrzekła łagodnie Julcia.

Lecz rozsądna i dobrze wychowująca dzieci, matka Julci, rzekła jej: Owszem moja córeczko, wypada ci natychmiast połączyć się z temi panienkami, inaczej mogłyby sądzić, że jesteś mściwą.

Taki rozkaz córeczce swjej, dała ta roztropna matka, bo zrozumiała spojrzenie matki Hortensyi, które najwyraźniej zdawało się przemawiać: rozkaż córecę swję bawić się z moją, bo na tem zależy poprawa dziecka mojego, któremu zaraz, w oczach twoich, dam bolesną przestrożę.

Julcia, dziecko z natury dobre, łagodne, pocziwe, a timsamem i posłuszne dla matki, nie wahała się ani chwili w spełnieniu jej rozkazu, stawa więc natychmiast do gry.

Panienko! rzekła Hortensya do Julci, zechcesz rozpocząć grę, oto my obieramy te cztery drzewa za *kąty*, a panna staniesz we środku.

Julcia potulna, stawa obojętnie na środku, a Hortensya z trzema przyjaciółkami swemi, rozstawiły się na około pod drzewami. Tu, matka Hortensyi, że nadeszła chwila stosowna, zawołała groźnie:

Hortensyo! i cóż to ja widzę, ty zaprosiłaś panienkę do gry, a przeznaczasz jej miejsce ostatnie; tak to się szanuje innych? co ty sobie myślisz? rozkazuję więc, stań mi natychmiast na środku.

Ależ mamó! . . . przebaczyła Hortensya znieszana.

Bez żadnych uwag, mościa panno! dwa razy nie polecam!.. rozkazuję!...

Hortensya widząc wybuchający co raz mocniej gniew matki, z bólem serca wolę jej spełnia.

A teraz moje panienki, mówiła dalej matka Hortensyi róbcież to... coście między sobą ułożyły na przypadek, gdyby ta grzeczna panienka stała na środku. Pilnujcie z największą ostrożnością stanowisk swoich, tak ażeby córka moja, w żaden sposób na miejsce jednej z was dostać się nie mogła.

Hortensya! Hortensya! jest *piecem* zawołały jej przyjaciółki, sama tylko Julcia podzielała jej smutek.

Wrodzona duma Hortensyi, widząc pierwszy raz tak gwałtowne poniżenie swoje, nie dozwoliła jej wylać łez, które się gwałtem z pod powiek jej cisnęły.

Już dobry kwadrans upłynął, a ona jeszcze stała na środku, bo przyjaciółki jej szczerze miejsc swo-

ich broniły, a Julcia lubo nieraz umyślnie uchybiała swego miejsca, Hortensya nie chciała go jednak zabierać po niej, sądziła bowiem, że tylko ze trzema gra; ale gdy opuściły ją wszelkie siły do zatrzymania w sobie uczuć, które nią miotaly, zawołała:

Dosyć już! dosyć, już mię ta gra znudziła!

Gra więc ustała, Julcia żegnając towarzyszek zgrabniutkim ukłonem, miała już oddalać się do swojej mamy, gdy matka Hortensyi zatrzymując ją za rączkę, rzekła:

Hortensyo! należy podziękować panience, która raczyła przyjąć udział w grze z tobą..

Dziękuję pannie, odrzekła z przymusem Hortensya nie mogąc dłużej powstrzymać łez, które na ostatnie to poniżenie jej dumy, strumieniem się z ucz potoczyły.

Zapewniano, że od tego fatalnego zdarzenia, Hortensya wiele utraciła z wrodzonej sobie pychy na przeciw panienkom swojego wieku, ale zarazem miała i znienawidzić na zawsze grę w *cztery kąty*.

VI.

JABŁKO, BALON I PIŁKA.



miesznie to bardzo wygląda, jeżeli kto sam siebie chwali, bo cóż zyskuje natém, oto: napróżno trzdzi się wymową, a słuchacze nie wierzą i jeszcze się śmieją. Usta własne złym są tłumaczeniem wartości naszej, czyny niechaj za nas przemawiają. Posłuchajmy, i naśmijmy się do woli z próżności i częściej chętności trzech matador, które na plac występują, ażeby przed gronem zebranych dzieci, wstawiły się kosztem jeden drugiego.

Z drogi! z drogi! otóż najpierw występuje, *jabłko* jako najstarsze z rodziny piłek. Zuch to nie lada,

silny, tudny do kierowania, a tak twardy dla dłoni, iż nie daje władać sobą inaczej, jak za pomocą palanta. Uważacież, jak rzuca na nas spojrzenie pogardliwe, jakby wyraźnie wstydział się za generacyą dzisiejszą, uważając ją za zniewieściałą i niedzną! Ach! szanujmy go przez wzgląd na jego wiek i pamięć jego nieszczęść. Przebaczymy wyrzuty jakie nam czyni, bo ma słuszność wielką, bośmy nim wzgardzili i zarzucili tego co był najstodsza i najulubieńszą rozkoszą naszych ojców. O! biedne jabłko, posłuchajmy twych narzekań...

Jestem *jabłko*, (tak lamenta swoje rozpoczyna) dawniej byłem panem gier, a dziś... zarzucone. Taki

to smutny los wszystkiego na ziemi. Nazywano mnie *jablkiem* ponieważ rzucono mną w przestwór powietrza, siłą samą dłoni. Ależ to byli i ludzie w wówczas silni i zatwardziali w trudach, którzy nie lekali się obrazić miękkiej swą dłoni o twarde boki moje. Miałem przyjaciół i zwolenników potężnych. Henryk IV, ten wielki sercem i głową monarcha francuzów, pieścił się ze mną, a rej wodziłem w pośród nienawidzących pokój wojaków, jak i równie odważnych muszkietarów, których życie i imię upowszechniło na zawsze pióro Alexandra Dumas. Ja ich wszystkich kochałem, i na wzajem jakiejże rozkoszy doznawali ze mną. Byłem ich ulubionym zatrudnieniem w chwilach wolnych, a przyznam się, że nie jednemu wypróbowałem kieszonkę, bo marnotrawniki na dziwactwa lotu mego stawiali ogromne sumy. Ach! błogie to były czasy dla mnie, a chociaż początek mój sięga niedocieczonej starożytności i chociaż w czasach najdawniejszych jeszcze i w wiekach średnich grano we mnie, lubo z pewnymi zmianami, zawsze jednak owe czasy nie od-

żałowane są dla mnie. Lecz później... o! hańbo, nadeszły czasy zniewieściałości; już dla leniwą dłoni zdałom się być za twarde; ja zaś, żeby przewagi mojej nie utracić, zrobiłom z siebie ofiary i ustąpienia; dozwoliłom do gry we mnie używać rękawicy a następnie i palanta... Samo więc zostałem przyczyną własnej zguby, bo posuwając coraz dalej i więcej ustąpienia z praw moich, doszedłem do tego, że dziś opuszczone, zaniebane, szczęśliwe jeżeli powieścio-pisarz jaki ustęp mały pamięci mojej w piśmie swoim poświęci. O nieba, i któż to teraz miejsce dawną potęgę i sławę moją zagarnął?... oto krew moja, kuzyni moi; balon i piłka!... *Balon* ten otylec nadęty pychą i wiatrem... on nie utrudzi ręki, można go najsilniejszymi razami okładać bez obrażenia dłoni. A *piłka* ta drobna intrygantka, która skacze i tarza się po wszystkich kątach świata. Jakże to ludzie są niewdzięczni, bo dzieciom przebaczam, bo też nie byłem grą dzieci, lecz ludzi silnych i mężnych. Dzisiaj mężczyzna nie pomyśli o mnie, przekładając raczej nademnie

gry giełdowe lub szulerstwo, które wprowadzie nie urażą dłoni ale zniszczą majątki cudze. Jednakże, w czasach mojej przewagi, wznoszono wyłącznie dla mnie okazałe gmachy i urządzano przepyszne w nich salony, zastosowane jedynie do wymagań moich, to są ostatnie zabytki uszłej sławy mojej. Dzięki przemieszkaniu mojemu w Wersalu, bo gdy zostałem zaniebane, jako rozrywka, przynajmniej imię moje przejdzie do potomności, które jej zawsze przypominać będzie ową sławną z następstw zbrodniczych przysięgę dokonaną w sali mojej, bo w sali *gry w jabłko*. Słaba to pociecha w porównaniu nieszczęścia mego. O! biada, biada, po trzykroć biada mnie!

O! *jablko* zgrzybiały bekso, zakończ narzekania i przechwałki swoje, bo czegoż masz utyskiwać, każda rzecz ma swój czas, był czas dla ciebie, niechże teraz będzie dla innych.

Z drogi! zdrogi! otóż i *balon* ten średni braciszek z piłek rodziny, toczy się własną siłą nabrzmiały jak

fasa. Uważajcie, jak on jest duży, okrągły, jak przyjemnie powierszchnia jego upstrzona różno kolorowymi skurkami. On nie narzeka bynajmniej, on śmieje się serdecznie uszczęśliwiony sam sobą. Czyliż nie uważacie, iż zdaje się jakby roztwierał ogromne gardło ażeby przemówił, baczność nieroztropny, strzeż się wyrzec jednego wyrazu, ażebyś nie utracił tchu, którego jest jedynym warunkiem istnienia twego, tchu, którego cię czyni okrągłym i pękatym. Zaledwo słowo wyrzeczysz, a staniesz się płaskim jak ostryga. Baczność! raz jeszcze powtarzam ci nieroztropny! a jednak widzę jak rozdymasz boki i gwałtem przemówić pragniesz; otóż to, co to jest szat krasomówstwa... My spełniamy powinność swoją ostrzegając go, ale na próżno, posłuchajmy więc co powie...

„Miłe! chłopcy i wy lube dziewczątka, (tak rozpoczął perorę) ehce wam opowiedzieć wartość moją, obznajomić was z pochodzeniem moim i odmalować rozkosze, jakimi was obdarzam. Potem opowiem wam jeszcze!...”

Dosyć nędzniku, jeżeli wyczerpiesz się nad przedmową, nie pozostanie ci dosyć tchu do ukończenia zamierzonego perjodu. Już i tak tętniejesz, do rzeczy! do rzeczy!

„A więc dobrze, otóż przystępuję do rzeczy, (rzekł uznając słusność naszej przestrogi). Nie pochodzę ze starożytniej rodziny, bo pierwszy mój pradziad, zaledwie pół wieku upłynęło jak się na świecie pojawił, a przecież, pomimo młodości mojej, na tuszy mi nie zbywa. Naprzód bawiłem małe dziewczątka, a byłem wówczas i mniejszym i tańszym, one mną taczały po ziemi uganiając się za mną po ogrodach, bo tam właśnie jest stolica moja. Studenci i młode chłopcy w chwilach rekreacyi, bez miłosierdzia kułakami boki moje okładają, tak, iż rad nie rad muszę pomiędzy nimi to skakać w górę, to latać po powietrzu, to biegać po ziemi. Nareszcie, młodzież doroślejsza, zbliżająca się wiekiem do ludzi, bawi się we mnie z zapałem, a koło liczne tworzy się z nich w miejscu gry. Po dziwiane tam bywają uderzenia we mnie pięścią wy-

mierzone z taką zręcznością przez grających, a niekiedy spodoba mi się osiąść na głowie, którego z widzów, co staje się powodem powszechnej wesołości, śmiechów i żartów, tak, że i ja sam, śmiać się z tego muszę; widzicie więc, że mam i tę dobrą stronę, że umiem być wesołym żartownisiem.

Ach! jakże mnie wszyscy kochają, a im więcej kto kocha, tym liczniejszymi kułakami boki moje okłada, dla tego więc szczęśliwym jestem z mego przeznaczenia, bo, bawiąc się sam do woli, innych sobą bawię, a głównie dzie...”

Otóż masz! a czyliż nie mówiliśmy ci? oto już gonisz ostatkiem tchu, i nie masz czem dokończyć rozpoczętej gawędy. Przewidzieliśmy to dobrze, i cóż? oto teraz zostałeś próżny i płaski...

„Nadmą mnie znowuż i basta” a usiłując raz jeszcze roześmiać się, wydał ostatni dech i skonał. Dobra noc! biedny balonie, a jutro, jednym dmuchnięciem wrócimy ci kształt pierwotny, a z nim i całą wartość twoją.



Jabłko, Balon i Pilka.

Z drogi! z drogi! otóż najdrobniejsza z rodu piłczanego. Otóż *piłka*, zwyczajna piłka, co w lek-
kich susach skacząc po ziemi, jak szalona, pełna ży-
cia i wesołości nadchodzi.

Witaj miła piłeczko! a jestżeśty przynajmniej
dosyć elastyczna, lub nie?

„Jestem elastyczną, aż nadto, bo widzicie sami
jak w bezustannych skokach niezmordowaną je-
stem. Staję się czasem gałką wypchaną, ale w ten-
czas tylko płacą za mnie trojaka, służę ku za-
bawce zbyt drobnych dzieł. Lecz jeżeli mam zo-
stać elastyczną, wkładam w siebie serce korkowe,
ciałko mu daję z przedziwa wełny, a sukienkę z róż-
nofarbną jerchy. Dzisiaj, jestem po prostu gałką
uwitą z nitek kauczuku, te są wnętrzności moje,
a co do zewnętrznej garderoby, ubierają mnie jakby
poliszynela, bo w sukienkę uszytą z rozmaitego ko-
loru kawałków skórki. Występuję się głównie chłop-
com na pensjach i w szkołach. Tam to proszę wi-
dzieć i podziwiać zręczność obrotów i kombinacy-
moich, a im więcej skacze, tym więcej młodzieży

przyjemności niosę. Rzućcie mną naprzeciw muru,
odskoczę i sama wpadam w ręce tego co mną rzu-
cił, a jeżeli nie zręczny, uderzam w ziemię; z niej
podskakuję i pierwszemu zręcznemu dozwalam się
w powietrzu uchwycić i w takim tańcu nazywam się
grą do muru”.

„Utwórzcie znowu dwa w pewnej odległości od
siebie stanowiska i puszczajcie mnie z jednego do
drugiego podbijając mnie palantem, byle według pe-
wnych warunków i reguł, jakie wam przepisują,
a stanę się wtenczas *grą w palanta*. Chcecie, aże-
bym została *grą w metę*? ustawcie się w duże koło,
jeden od drugiego w oddaleniu, niechaj jeden z was
stanie w samym środku, wtenczas, rzucajcie mną
podając mnie sobie na wzajem, a ten który naj-
więcej ufa swjej zręczności, niechaj mną ugodzi sto-
jącego we środku; jeżeli go chybi, biada mu! bo go
zluzować musi”.

„Słowem stanę się dla was tém, czém sami ze-
chcecie, posłużę wam do każdej gry jakiebyście tyl-
ko nazwisko jej nadali. Nie lubię miejsc ścieśnionych,

blisko domów, bo wrodzona moja ciekawość, nieraz przez wybitą przezemnie szybę, zagląda do cudzego mieszkania, nie lubię miejsc uczęszczanych przez ludzi, bo nieraz przechodzącemu zatrzymam się na nosie lub pod okiem, za co potem jestem pogardliwie nogą odepchnięta; a jak jestem lekka, wesoła, tak równie lubię być swobodną, place tylko obszerne lub pole, są najmilszą, są jedyną przechadzką moją. Śmiało więc możecie powiedzieć o mnie to, co napisano o pewnym błaznie:"

Nie dla kilku przecie
Ma skakać po świecie,
Dla całego świata
Niech skacze, niech lata!

Skacz więc swobodnie, wesoła piłeczko, a my w twoich swawolnych susach usilnie strzedz będziemy, ażebyś nie ugrzęzła w kałuży jakiej, lub różnobarwną sukienki swój w błocie nie zaszargała.



Wolant i Gracye.

WOLANT I GRACYE.



*Wolant u drzwi pensyi panien, puk!
puk!*

PANNY.

Kto tam?

WOLANT.

To ja *wolant*.

PANNY.

A czego żadasz?

WOLANT.

Przychodzę uprzyjemnić wasze nudy, ubrany jestem przystojnie, mam piórka bielsze od śniegu i piłeczkę fioletową obszytą u wierzchu złotym galon-

kiem. Przystroifem się o ile mogłem byle się wam podobać, ale nie ja sam jestem, przychodzą wraz ze mną, nie odstępne towarzyszki moje dwie rakiety, śliczne rakiety obrećzki pięknie malowane z chebanowemi rączkami, a całe oplecione w bardzo misterną siatkę z najcieńszej struny. Są również z nami i dwa różki machoniowe, które zmordowane rakiety tak zręcznie zastępują.

PANNY.

O! wniǳ! wniǳ! upragniony od nas grzeczny *wolancie*.

GRACYE (za drzwiami).

Puk! puk!

PANNY.

Któż tam?

GRACYE.

To my, *gracye*.

PANNY.

A czegoż żądacie?

GRACYE.

Przychodzimy urozmaicić wam czas wolny od zatrudnień, ofiarując wam piękną i zgrabną figurkę jakiej nabywacie bawiąc się z nami. Jesteśmy lekkie, unosimy się po powietrzu jak piórko, a opuszczając się na ziemię nikogo nie obrażamy. Jesteśmy małym kółeczkiem, owitem w rozmaitego koloru wstążeczki, które sprawiają dziwnie piękny widok przerywając wraz z nami powietrze. Przyprawiamy z sobą i cztery cisowe pałeczki ślujące się od wypolerowania jak szkło, bez których, nie wolno nam z jednej do drugiej rączki przebiegać. Otwórzcie nam grzeczne panienki, nie naszej ale waszej przyjemności szukamy.

PANNY.

Ach! tak grzecznym gościom, któżby rad nie był, prosimy więc, prosimy piękne gracye.

WOLANT.

Co widzę! *gracye* tutaj?

GRACYE.

O! nieba, wszakże to wolant w tem miejscu.

WOLANT (na stronie).

Nieprzyjaciele...

GRACYE (na stronie).

Zazdrośny rywal...

WOLANT.

Wszędzie to mam was napotykać?

GRACYE.

Wszędzież to będziesz śledził kroki nasze?

WOLANT.

Nienawidzę was.

GRACYE.

Oburzeniem nas przejmujesz.

PANNY.

A pfe, piękne gry, szanujcie to miejsce i nie kłóćcie się. Czyliż nie jedna krew rodzinna łączy was z sobą? Czyliż nie jednakowy obiedwie macie początek? Jako rodzeństwo miałożby się między sobą nienawidzić! Nasza nauczycielka ciągle powtarza, że siostra siostrę, brat brata, całym sercem kochać powinien. Istotnie, bardzo nam przykro być świadkami niegrzeczności waszej.

WOLANT.

Ze smutkiem, ale zaprzeczyć nie mogę, iż oboje pochodzimy z jednego rodu, ale z jakąż różnicą. Ja pierwój byłem znany, bo stawałem się rozkośną dam dworu Ludwika XIV, którego naród nazywał wielkim!

GRACYE.

A my byliśmy słodyczą dworu Ludwika XV, którego naród nazywał ukochanym.

WOLANT.

A więc same widzicie panienki, że lubo gracye szczycą się powinowactwem ze mną, pochodzą je-

dnak z młodszej linii, bo później odemnie w świat weszły, a przeto, domagam się pierwszeństwa, możesz się śmiesznym wydawać?

GRACYE.

Co do pierwszeństwa, potrafiłybyśmy znaleźć nie mało dowodów dla siebie.

WOLANT.

Ale nigdy tak słusznych jak moje.

PANNY.

Mówcież kochane gry kolejno przyhajmniej; opiszcie nam każda z osobna prawa pierwszeństwa i zalety swoje; na bezstronności naszego sądu polegać możecie, my żadnej z was nie chciałybyśmy ubliżyć, mówcie więc, słuchamy.

WOLANT.

Ja, gdy podbity rakieta, z jakimże to wdziękiem przeżynam powietrze, jak w locie kieruję się zręcznie moimi piórkami, a złoty mój galonek koło piłeczki, przebiegając od jednej do drugiej panien-

ki, zdaje się jakby obiedwie łączył złocistą nitką, a przytem z jaką względnością, i lekkością osiadam na drugiej rakiemie.

GRACYE.

A my, podrzucane dwiema pałeczkami, przesuwamy się wolnym lotem na drugie dwie pałeczki. Czy uważałyście drogie panienki, z jakim to wdziękiem ja obracam się, toczę i chwieję w powietrzu, a różnobarwne wstążeczki owite około boków moich, nie czyniąż mię w locie podobnym do czarujących cieni chińskich lub dziennych ogni sztucznych; wyskoczywszy z jednych pałeczek, gdy osiadamy na drugich, powiedźcie same, czyśmy kiedy obraziły którą z was w rączkę, taka to delikatność, takie wykształcenie w ruchach naszych.

WOLANT.

Panienki! ja jestem obrazem lekkości waszej

GRACYE.

A my waszego wdzięku i zgrabności. Nie bez przyczyny gracyami zowiemy się.

WOLANT (do gracyi).

Cała też wartość wasza w nazwisku tylko, z którego tak pyszne jesteście. Możecież mi zaprzeczyć, iż nie równie obszerniejsze aniżeli wy otwieram pole dla młodych panienek, do popisywania się z ich zgrabnością, zręcznością i wdziękiem? Dla czegoż to, w dniach letnich, grają we mnie wszędzie, po ulicach nawet nie przeszkadzając bynajmniej przechodniom. Działki jak i dojrzali z równą przyjemnością bawią się we mnie, kiedy wy pełne kaprysów, mniej dla każdej ręki przystępnymi jesteście, dziecię małe nie potrafi wami władać, bo zbyt utrudzacie, męczycie rękę. Ale w czym jest najlepszy dowód wyższości mojej, oto w tém, że wy zawsze jedne i też same jesteście, kiedy przeciwnie ja, gdy znudzę młode panienki memi wolantami, podaję im do rączek machoniowe różki, aby, wyrzucony w powietrze z jednego, znalazłem gościnne przyjęcie w drugim. Tak więc, wyperswadujcie sobie *gracye* śmieszne zuchwalstwo w porównywaniu się ze mną; będąc przekonany że wielomówna zaro-

zumiałość wasza, niedozwoli wam otwarcie wyznać niższości swojej, ciekawy przeto jestem, jaki skutek wezmą, wasze czece przechwałki... zobaczmy!

GRACYE.

Hipokryto! wyliczasz zalety, a przemileczasz przywary liczne; a czyliż to zawsze osiadasz szczęśliwie na rakiemie, ileż to razy niezgrabny! miniesz ją i tarzasz się po ziemi, ha! ha! ha! galonowany panicz po ziemi się tarza, i ażeby cię podnieść potrzeba się umęczyć, schylać! ale nas jeżeli nie wprawna rączka nie zdoła w powietrzu uchwycić, spadamy wprawdzie na ziemię, ale swawolnie potoczywszy się po niej, jedno dotknięcie pałeczki wznosi nas w górę i już pływamy, równie wesoło jak pierwój po nad głowami.

WOLANT.

Oto mi dopiero znakomita wartość... czyli nie macie nic więcej do powiedzenia na swoją stronę?

nie więcej? nic lepszego? No to teraz piękne panienki raczcie przystąpić do sądu; poznałyście dokładnie wartości nasze, a zatem, ubliżałbym wam napominając, że według ścisłej sprawiedliwości, palma zwycięstwa mnieby przynależała. Otóż oddaję się z ufnością pod wasz wyrok.

GRACYE.

Kochane panienki! my jesteśmy *gracye*, a więc powinnybyście uważać się za siostrzyczki nasze, wszakże dopiero co mówiłyście, że madame was uczy, ażeby siostra siostrę kochała. Spodziewamy się przeto, że, jako o siostrach swoich, krzywdzącego nas wyroku wydać nie zechcecie. My chętnie zrzekamy się powinowactwa z wolantem, byleście wy na stronie naszej pozostali.

PANNY.

A więc!... panujcie obiedwie gry, w chwilach zabawy naszej! i w nich berto dzielajcie, bo obiedwie po-

siadacie właściwe sobie wartości, i zarówno dla nas przyjemne jesteście. Panujcie bez sprzeczki, cieszc się naszą uciechą, a pozostawcie innym pychę i zazdrość, które zatrują słodycz życia. Zostańcie tym, czym jesteście, to jest: dwoma pię-

knemi, przyjemnemi i wesołemi grami. Uwijajcie się w powietrzu po nad głowami naszymi bez ustanku, a i my bezustannie wołać będziemy, cześć *wolantowi!* cześć *gracyom!*



Latawiec.

LATAWIEC.



estem autorem! pisałem dzieł wiele o wszystkim i dla wszystkich, pragnę teraz spróbować sił moich, czyli potrafię i dla was, kochane działki, coś napisać. Obieram więc przedmiot ważny; chcę wam opisać *latawca*, który was w dniach pogodnych lata, puszczone na długim szpagacie, poważnym bujaniem swoim w powietrzu, bawi. Mamże uczyć was jak wiążą się dwie trzcinki na krzyż? obciągają się szpagatem i oklejają papierem, jak ten długi z pociętych papierów z ogromną kitą na końcu ogon, zawieszony u niego, a bez którego nie wzbił-

by się w powietrze, wlekąc się za nim wspaniale, ogromne koła i rozliczne gzygzaki w górze zakreśla sobą. Nie, te drobne przygotowania, któremuż z was niesą znane. Wolę wam przeto historyczne pochodzenie téj zabawki opisać.

Rzecz bardzo naturalna, że gra ta u nas nazywa się *latawcem*, bo posłuszny sile wiatrów leci tam, gdzie one go zapędzą.

Ale dla czegoż francuzi, u których zabawa ta początek swój wzięła, nazywają go według dosłownego tłumaczenia *jeleniem latającym* (Cerf volant)? Może dla tego, że pędzony siłą wiatrów, leci pędem

jelenia? Może, że w początkach nadawano mu figurę jelenia?

Pomyślmy nieco nad tak ważnym przedmiotem.

Czyli nie byłoby to przypadkiem z powodu wjazdu do Paryża królowej Izabelli, żony nieszczęśliwego Karola VI, którego obłąkanie umysłu rozrywano licznymi zabawkami. Otóż, więc, jak podanie niesie, w czasie wjazdu tej królowej, kiedy Paryż urządzał rozliczne i najosobliwsze widowiska dla uczczenia tej monarchini, kuglarz pewien, przybyły z Włoch, ukazał w powietrzu jelenia w locie, przez psa ściganego. Polowanie to napowietrzne trwało ciągle przez trzy godziny, z wielkim podziwieniem pospólstwa, które ku czci kuglarza ciągle *rival* wołało. Kuglarz, po przejechaniu królowej i całego jej dworu, za pomocą dwóch sznurków, które trzymał w rękach, ściągnął jelenia wraz ze psem na ziemię. Widowisko tak osobliwe zostało w umyśle paryżan podziwienie i pamięć nie zatartą. Niektórzy zaś roztrośniejsi z widzów uważali na wszelkie działania kuglarza, śledząc z uwagą jelenia, i próbowali później zrobić podobnego.

W istocie nie jest w możności mojej, mały mój czytelniku, zaspokoić zupełnie w tym względzie ciekawości twojej, w każdym jednak razie, jeżeli podanie moje jest błędne, żałuję tego. Wszakże uznaję sam, że początek jelenia latającego u francuzów, a u nas latawca, według powyższego podania jest bardzo prawdopodobny. Jedna rzecz, w której z całym przekonaniem upewnić was mogę, że *latawiec* jest grą równie przyjemną jak i stosowną dla każdego wieku, bo widziałem sam przed laty kilku, jak dwóch młodych chłopczyków, w towarzystwie dwóch dorosłych młodzieńców bawili się w *latawca*, wszyscy z równym zajęciem, tak, jakbyście wy małe dzieci rozrywki tej używały.

Ależ panie autorze, skoro tyle udzielasz nam wiadomości o *latawcu*, wyjaśnij nam i to, czyli zawsze w latawca bawić się można, gdyż ile nam się zdaje, że tylko na wiosnę i w jesieni najwłaściwsza jest pora do takiej zabawki, a to z powodu, że w tych porach roku i powietrze jest chłodniejsze i wiatry tak konieczne do kierowania latawcem w większym są ruchu.

Cierpliwości, małe mój czytelniku, ja ci to objaśnię.

Ach! gdybym to ja na miejscu pańskim był autorem, jakżeby to ja opisał *latawca*!

A więc zgoda. I cóżbyś na przykład mój czytelniku mógł więcej powiedzieć? owszem mów, zrobisz mi nawet w tym niemąłą przysługę.

Czyliż istotnie nie robi to panu przykrości, gdy za niego mówić będę?

Już ci powiedziałem, że żadnej, a teraz dodam jeszcze, że przez to wybawisz mię z trudnego położenia, gdyż wyznam otwarcie, jak na autora mało powiedziałem i na nieszczęście nic więcej nie mam do powiedzenia.

Skoro pan pozwalasz, posłuchaj więc co bym ja napisał. Naprzód wypada mi nadmienić, że dla nas uczni puszczenie *latawca*, jest zabawką tego rodzaju, iż potrzebujemy na samo przygotowanie się blisko dni ośmiu, jest to dla nas powodem wielu i rozlicznych kłopotów, a nawet pociąga za sobą znaczne wydatki, w których bez składek obejść się

nie można. Należy kupić trzcinę, z nich ułożyć kadłub, którego okleja się papierem; takowy bez ozdób zostawić nie można, nakleja się go wyciętymi ze złoczonego papieru figurami, wyobrażającymi słońce, księżyc i gwiazdy. Ozdoby te, najwłaściwszymi są dla upiększenia *latawca* przez sam wzgląd na jego przeznaczenie, ażeby, gdy wzbije się aż pod obłoki, i ujrzy się bliskim słońca, księżyca, gwiazd mogło mu zdawać się na ten czas, że się zbliża do rodziny swojej. Najważniejszym z wydatków jest zakupienie sznurka mocnego, ażeby się w czasie bujania *latawca* nie przerwał, bo w takim razie należałoby pożegnać się z *latawcem* na zawsze, którego oswobodzony, a pędzony wiatrem wciąż w górę, chybaby oparł się o samo niebo, lub miotany wiatrami, straciwszy równowagę, spadłby na ziemię, gdzie zaczepiony o gałęzie drzew, śmierćby niezawodną dla siebie znalazł. Szpagatu wypada mieć ile być może największy zapas, ponieważ wzbicie się w górę *latawca* zawisło jedynie od długości sznurka. Będąc

jeszcze młodszy niżeli dziś jestem, nie mogłem puszczać *latawca* bez silnego bicia serca, bom do broduśnie wierzył, że on poleci aż do stopni niebios, gdzie ujrzy tych pięknych i wiecznie szczęśliwych Herubinów, o których mama tyle razy mi wspominała.

Jakaż szkoda, że *latawiec* mówić nie może, pomyślałem nie raz w pierwszym moim dzieciństwie, iluż ciekawymi wiadomościami obdarzyłby nas za powrotem swoim na ziemię. Razu pewnego, pamiętam to dobrze, a byłem w ten czas zbyt małym, kiedy brat mój starszy puszczał *latawca*, którego wzbił się tak wysoko, iż zrazu zaledwie jako punkcik mógł być dojrzany, a następnie znikł zupełnie przed wzrokiem moim; ach! on jest w niebie, pomyślałem sobie, ale wieczorem, kiedy *latawiec* został do domu odniesiony, odciąłem od niego sznur, sądząc, że przez długość jego, wymierze odległość nieba od ziemi.

Dzisiaj, kiedy wyższe są moje pojęcie i doświadczenie, nie tracę jeszcze rozkoszy, i że tak powiem,

tego samego wzruszenia jak dawniej, gdy przychodzi mi puszczać *latawca*.

Zabawka ta, tak łatwa na pozór, nie jest taką w istocie, bo niedosyć jest, mieć kadłub oklejony papierem i znaczny zapas szpagatu; należy jeszcze w budowie jego zachować symetrią i równowagę, należy wiedzieć gdzie i jak szpagat przy nim uwiązać. Bo przypatrzmy się tym chłopczykom wychodzącym z bakalarni, którzy wydarłszy ćwiartkę papieru z kajetu, przyczepili ją do krzyżyka z ciężkiej łożyny, wyciągniętej z boków kosza i tak, pragną urządzić *latawca*!... jak oni trzymając za koniec kilka łożkowej nitki biegną przez ulicę, wlokąc za sobą miotający się tu i owdzie świstek, którego nareszcie tonie w pierwszym napotkanym rynsztoku. Taki to, według mego zdania, mógł być początek *latawca*, z czasem rzecz każda udoskonala się.

Ażeby urządzić *latawca* mogącego wzbić się w powietrze, należy mieć nieodzownie jakieś wyobrażenie o ciężkości ciał. Należy naprzód ażeby długość i waga ogona ściśle zastosowaną była do

wielkości *latawca*, równie jak i dwa ciężarki po bokach, uszami zwane, od których równość i spokojność położenia jego w powietrzu zależy. Nakoniec, uczepienie sznurka powinno być w samym środku ciężkości *latawca*, którego pod takimi tylko warunkami, z pewnością i spokojną powagą wzniosłszy się, pływać wspaniale w powietrzu będzie igrając majestatycznie ogonem.

Latawiec raz wzniesiony w górę, chociażby znikł przed wzrokiem naszym, nie pozbawia się jednak stosunków z nami; można z nim korespondować za pomocą pocztyliona, a to w ten sposób: trzymając już za sam koniec szpagatu, kawałki papieru przedziurawione w środku nawlekają się na wytrakowany szpagat, wiatr dmący w nie, pchać je będzie ciągle w górę, które po tej szpagatowej drodze, jak lekomotywa po żelaznej kolei, wśród ciągłego i bardzo zabawnego młynkowania, zasuną się aż do samego *latawca*. Otóż, co my uczniowie w szkołach i na pensjach, nazywamy pocztą lub pocztylionem. Widzisz panie autorze, to wszystko jest, co bym powiedział, będąc na twoim miejscu.

W rzeczy samej, mój młody czytelniku, mocno ci zobowiązany jestem, gdyż nie można dodać do tego, coś opowiedział, a tak wyreczyłeś mię w obowiązku zbyt trudnym. Ależ, co mnie szczególnie zadziwia, że nie musisz ty być tak bardzo młodym dzieckiem, o czym przekonywa sposób wystąpienia się twego, właściwego raczej dojrzałszemu wiekowi.

Tak panie autorze, mam już lat szesnaście i... słucham retoryki.

Tam do kogo! retoryk! ach gdybym był wiedział o tym, nie ośmieliłbym się być, dziełem mojego okazywać ci do przeczytania.

Owszem, zawsze czegoś nowego dowiedziałem się; a teraz żegnaj cię panie autorze.

Jakto? opuszczasz mię?

Tak, bo mam puszczać *latawca*.

A więc życzę ci wszelkiej przyjemności panie retorze.

Dziękuję panie autorze.

S E R S O (le serseau).



Tocz się, tocz, piękna obrączko, tocz i obracaj się nieustannie dla ubawienia tych grzecznych panienek, które tak ochoczo uganiają się za tobą, popędzając obroty twoje małą laseczką, jakbyś dla wrodzonej ich żywości za leniwo obrażała się. Tocz się, ale omijaj starannie drzewa w ogrodzie, które bieg twój wałęsający po nie pewnej drodze zatrzymać mogą; nie spocznij na chwilę w bieganiu, a ja tymczasem opowiem ciekawą historijkę.

Przed wielu laty, bo jeszcze w środku zeszłego wieku, w miasteczku, którego nie pamiętam nazwiska, żył pracowity rzemieślnik; Bartłomiej, tak go powszechnie nazywano, z powołania był bednarzem, a do tego tak zręcznym, iż każdy unosząc się nad robotą jego, dziwił się, że dotąd nie został majstrem i nie wykonał majstersztiku. Wypada objasnić was, jeżeli o tém nie miałyście sposobności słyszenia, że zwyczajem a nawet prawem jest pomiędzy rzemieślnikami, nie dopuszczać żadnego czeładnika do godności majstra, dopóki nie wykona właściwego swemu rzemiosłu arcydzieła; co oni



Serso.

w swoim języku nazywają majstersztik. Tym sposobem, dzieło takie służy czeladnikowi niejako za examen, bo jest dowodem i miarą jego zdolności, należy mu więc, przy wykonaniu takowego, dołożyć największych starań, pracy i usilności, oraz wszelkiej znajomości swojego rzemiosła. Jednakże przy takim zatrudnieniu, czeladnik może poświęcać tylko czas wolny od zatrudnień warsztatowych, przez co robota taka postępować musi zbyt wolno. O jakże ukochanem, jak miłem staje się dzieło takie dla czeladnika, przygląda mu się bezustannie, prawie oczów nie odrywa z niego, codziennie znajduje w niem coś do poprawienia i udoskonalenia, i dla tych przyczyn słusznie nazwane jest majstersztik. Zwyczaj ten wydał bardzo szczęśliwe skutki, albowiem dał bodźca postępowi rzemiosł, a podniecając miłość własną robotnika, utwierdzał w nim zamiłowanie do porządną pracy, uczy go skrzętnego korzystania z każdej chwili czasu, skarbu tak nieocenionego, a częstokroć marnowanego tak nieużytecznie.

Wszakże, lubo sąsiedzi Bartłomieja dziwili się, że rzemieślnik tak doskonały, nie wykonał dotąd maj-

stersztiku, on sam jednak był myślą o nim ciągle zajęty. Bartłomiej pracował już nad niem z największym zapałem, ale w tajemnicy, urywając na to godziny przeznaczone na sen lub wytchnienie. Była to piękna beczka zwykłej objętości, klepki jej wystrugane z drzewa cisowego i tak szczelnie połączone z sobą iż zdawało się, że beczka cała wytoczona była z jednej sztuki ogromnego pnia. Obręcze misternie obrobione, świetną białością odróżniały się od różowego tła klepek. Trudno wystawić ile trudu kosztowało pracowitego rzemieślnika, wyrobienie tych obręczy; nareszcie szczęśliwy, że ujrzał swoje arcydzieło bliskiem ukończenia. Nie pozostawało mu bowiem jak osadzenie obręczy na beczce, ażeby mógł ją przedstawić zgromadzeniu majstrów bednarskich jako dzieło własne a zarazem najdoskonalsze i najpiękniejsze jakieby kiedykolwiek widzieć można w tym rodzaju.

Uszczęśliwiony Bartłomiej bliskim tryumfem swoim, podwoił usiłowania i zapał w pracy, i każdego poranku z rozradowaniem sercem i rozpromienio-

nem spojrzeniem wychodził z domu udając się do warsztatu majstra swego. Opuszczając jednak mieszkanie mawiał zawsze do żony i córki, ukochana Gertrudo i ty białowłosa Maryniu, zbliża się ten czas w którym położenie nasze polepszy się, w którym ja, pan własnego warsztatu, was będę mógł uszczęśliwić, lecz dla ziszczenia się tych błogich nadziei wymagam abyście rozkazy moje ściśle zachowali, oto: nie wchodźcie nigdy do téj izdebki w której zwykle pracuję, a której okno wychodzi na uliczkę, tam złożony jest mój majstersztik, a wy mogłybyście go uszkodzić.

Co do Gertrudy, ta ściśle wypełniała wolę męża, ale Marynia, ta białowłosa faworytka, była dziewczynką za zbyt ciekawą, rozpieszczoną, a najpewniej złego z natury serca, skoro wolę ojca lekce ważyła sobie, bo im usilniej wzbronione miała sobie wniknięcie do pracowni ojca, tém większa pokusa trapiła ją do przełamania rozkazu. Szkaradna to wada ciekawość, która dzieciom zwykle na złe wychodzi, jak to wkrótce ujrzymy. Dotąd przynajmniej Ma-

rynia nie śmiała okazać ojcu nieposłuszeństwa, lecz czyliż zasługuje za to na pochwałę? bo czyliż wolę ojca spełniła z przekonania i poszanowania dla niego? bo czyliż wierzyła, że nieposłuszeństwo rodziców jest grzechem najpierwszym przeciw przykazaniom Boskim względem ludzi. Wstydz się! wstydz Maryniu, bo ciebie nie cnota, nie religia wstrzymywały dotąd od wniknięcia do pracowni ojca, ale tylko, że on ostróżny i jak widać słusznie niedowierający tobie drzwi zamykał kluczem, którego, może być przed tobą, przy sobie nosił. Roztropna ostróżność! boś też nigdy nie miała większej pokusy do nieposłuszeństwa. Wyszukujesz podstawek, ażeby za ich pomocą, dosięgnąwszy okna, oczyma mogłaś być tam, gdzie nodze twojej wstąpić nie wolno było; lecz niebo, ciekawość twoją skarciło, bo pomimo podstawek, jeszcze w pracowni nic więcej ujrzeć mi mogłaś, jak sufit... Nareszcie, dzisiaj, grzeszna ciekawość twoja znalazła porę do zaspokojenia się. Ojciec twój przez zapomnienie zostawił klucz we drzwiach. Ach! strzeż się płocha Mary-

się płocha Maryniu, bo Bóg wyciągnął już rękę dla ukarania cię za błąd, którego masz popełnić.

Gertruda wydała się z domu na chwilę, zalecając, by Marynia była roztropną. Ta zaś, od samego rana, uważając zapomnienie się ojca, korzystała z chwili samotności, obraca kluczem, roztwiera drzwi, i wchodzi do zakazanego jej miejsca. Wchodzi... i przestępuje z ostróżnością sterły rozrzuconych po podłodze wiórów. Serce w niej z razu przejęte strachem, bić gwałtownie zaczęło, ale ciekawość wzięwszy przewagę nad nią, zaczęła plondrować po wszystkich kątach.

Ach! jakże to ładne, zawoła, ujrzawszy beczkę, jakieżby to przesłiczne cacko było do zabawy, gdyby nie tak duże. A to znowuż, co by to było? ach! piękne drewno! jakże białe, jak wygładzone! gdybym go choć dotknąć się mogła! Eh! ojciec o tym nie dowie się.

Posuwa rękę i już w niej trzyma jedną z obręczy. Obraca ją w różne strony, w tym obręcz wysliznąwszy się z jej rączki, potoczyła się po podłodze.

Ach! jakże to ładnie! rzekła i uchwyciwszy obręcz, popchnęła ją silniej, która przez otwarte drzwi pracowni wytoczyła się na uliczkę. Marynia przerażona, goni za nią dla uchwycenia jej, ale na nieszczęście, chłopak jakiś przechodzący podówczas uliczką, uderza ze swawoli pręcikiem w obręcz, przezco biegu jej przyspieszył. Otóż obręcz, i chłopiec za nią daleko już ubiegli, bo go to bawiło. Marynia dąży co tchu za nimi wołając: „Oddaj! oddaj to! bo to nie moje, ale mego ojca!

W tym inne chłopaki, jak to zwykle bywa, gdzie idzie o psotę, łączą się z pierwszym, a obręcz tymczasem jak bieży tak bieży; gdzie ją popchną, tam się zwraca; okrąża wszystkie ulice miasta, wśród wybuchu śmiechów ulicznych, pomimo biegania Maryni płaczącej i wołającej o zwrot obręczy.

W tym Bartłomiej powraca, znajduje drzwi pracowni swojej rozwarte i brak obręczy dostrzega; tu łatwo osądzić jego niespokojność, z której ochłonał dopiero, gdy ujrzał Marynię powracającą, zmęczoną i ledwie oddychającą, która wprowadzie

przyniosła napowrót obręcz, ale całą poszczerbioną i w błocie powalaną. Nie chcę opisywać gniewu Bartłomieja, któren nie mógł psoty takiej przebaczyć Maryni, aż dopiero w dniu wyzwolenia swego na majstra i to jeszcze skutkiem jęj najrzetelniejszego żalu.

Tocz się! tocz! prześliczne *Serso* dla większej

przyjemności miłych dzieci, które uganiają się za tobą, poganiają cię nawet, a pragną aby cię nigdy dogonić nie mogły. Tocz się; ale nadewszystko unikaj spotkania z drzewem w ogrodzie, bo ono zawstydzi cię, wstrzyma i obali w biegu. Tocz się! tocz bez końca! a ja początek pochodzenia twego opowiedziałem.



Bilbokiel.

X.

BILBOKIET (Billboquet).



hwała Bogu! spisałeś się gracko Saint-Mégrin, zrobiłeś piękny rzut w Bilbokiet, istotnie nie widziałem zręczniejszego nad ciebie.

— Ale po tobie, Najjaśniejszy Panie, odrzekł Saint-Mégrin, i pewny jestem, iż gdyby się tylko podobało

Waszej Królewskiej Mości, nierównie zręczniejszy rzut umiałbyś zrobić. Jeżeli się mnie udał, tom go winien jedynie przypadkowi, kiedy przeciwnie Wasza Królewska Mość...

— Przez Boga żywego! podaj mi go kochanku, niechajno spróbuję.

Saint-Mégrin podał królowi Henrykowi III piękny Bilbokiet, u którego rękojeść była ze słoniowej kości, a gałka hebanowa. Rzut, jaki obudził podziwienie królewskie, był istotnie jednym z najtrudniejszych. Zależał bowiem na tém, ażeby rozchwiawszy uwiązaną sznureczkiem do rękojści gałkę, na lewo i na prawo, podrzucić ją tak zręcznie, iżby osiadła na płaskim, lekko wyżłobionym końcu rękojści. Kilka razy próbował król rzutu, bez żadnego jednak skutku, co miłość jego własną niezmiernie oburzało, bo uważał się za najzręczniejszego w tej grze w całej Francyi.

— Tam do licha! zawołał rumieniąc się z gnie-

wu, jestem niezręcznym, i tobie Saint-Mégrin palma wycięstwa przynależy; jednakże, ażebym przyznał ci ją w zupełności, żądam abys powtórzył kilka razy raz po raz ten szczęśliwy rzut.

Saint-Mégrin wzięwszy z rąk królewskich Bilbokiet, czy to przez pochlebstwo, czyli też przez istotną niezręczność, pomimo licznych powtarzań, nie mógł zrobić rzutu podobnego pierwszemu. Król wypadkiem tym ucieszony, śmiał się do rozpuku, a Saint-Mégrin jako wytrawny dworak, udawał zawstydzanie się i najboleśniejszą rozpacz.

— Dosyc! zawołał król, śmiejąc się z niepowodzenia faworyta. Widzę, że słusznie utrzymywałeś, że rzut tak zręczny trafił ci się tylko przypadkiem, i że nie jesteś zręczniejszym od twojego pana, jesteś dobrym i wiernym sługą. Ależ jeszcze pragnąłbym doświadczyć zręczności zawołanych graczy Joyeuse i d'Epernon, może i oni okażą się być równie zręcznymi, jak my obadwa.

Na te słowa zadał silnie w srebrną pieszczatkę, którą zwykle zawieszoną na piersiach nosił, głos jój

niežnośnie piskliwy, przebiegłszy wszystkie salony, sprowadził jako znak wiadomy, służbowego kapitana gwardyi, któremu polecono zawiadomić obudwóch słynnych graczy, Joyeuse i d'Epernon, aby się przed królem stawili.

— Ale natychmiast, dodał król; powiedz im, że rozkazuję im stawić się w tej chwili.

— Tam do stu katów! mruczał pod nosem stary wojak, biegnąc, ażeby jak najprędzej uczynić zadosyć rozkazowi króla; musiało zajść coś bardzo ważnego, skoro Najjaśniejszy Pan, z takim pośpiechem żąda widzieć ulubieńców swoich. Zapewne dziś wielka rada odbywać się będzie.

Gdyby kto wtenczas powiedział był kapitanowi, że idzie jedynie o rzut w Bilkokiet, niezawodnie nie znalazłby wiary u niego. Tak też zarówno zdziwieni byli Joyeuse i d'Epernon, przybywając zdyszeni i cali potem oblani.

— Joyeuse! rzekł król, niedając nawet czasu ulubieńcowi swemu do wytchnienia, patrzaj o co tu rzecz idzie. Oto bierz ten bilbokiet, rozchwiej gałkę

na lewo i na prawo i pochwyć ją w rzucie na płaski koniec rękojeści. Prędko, śpiesz się.

— Jak to! Najjaśniejszy Panie, i potóż to?..

— I cóż u licha! czyliż to nie jest rzecz ważna? spiesz się! d'Epernon probować będzie po tobie, a ten, którego okaże się zręczniejszym, srebrny Bilbokiet otrzyma w podarunku.

Joyeuse wziął z ręki królewskiej Bilbokiet, lecz ani on, ani następnie d'Epernon, nie mogli dokazać tego, co jak teraz wyraźnie widzieć się daje, że tylko przypadkiem udało się Saint-Mégrin.

— Obadwaj niezgrabni jesteście, rzekł król, śmiejąc się coraz więcej, bo go ta scena bawiła serdecznie. No, teraz ja spróbuję raz jeszcze.

I nuż Jego Królewska Mość poczyna najzgrabniej władać Bilbokietem, obracając nim rozmaicie, i po kilku nieszczęśliwych rzutach, które udawał iż robił je dla próby ręki, nareszcie gałka osiada na płaskim końcu rękojeści.

— A cóż? mości panowie, zawołał król, wzdając tryumfującym wzrokiem po młodych pankach.

— Dzielnie! doskonale! przedziwnie Najjaśniejszy Panie! zawołali spólnym głosem faworyci.

— Jednakże Najjaśniejszy Panie, dodał Saint-Mégrin, i mnie się raz powiodło, a przecież drugi raz w żaden sposób tego dokazać nie mogłem; wypadłoby raz jeszcze Najjaśniejszy Panie spróbować.

— Aha! chcesz mię wypróbować Panie niedowiarku; a więc patrzaj; i zaczął robić różne rzuty, które jedne po drugich zawsze szczęśliwie udawały się.

— Dosyc już! dosyc Najjaśniejszy Panie, zawołał Saint-Mégrin; poddaję się i wyznaję być pokonanym, i ośmielam się Waszą Królewską Mość ogłosić, jako najpierwszego w całym twoim państwie gracza w Bilbokiet.

— Sądzę teraz, mości panowie, że mi przynależy umówiona zaszczytna nagroda, srebrny Bilbokiet, rzekł król, którego twarz radością promieniła, wyznaliście, sami żeście mi go winni.

— Jutro, rzekł Joyeuse, złożony będzie u stóp Waszej Królewskiej Mości.

— I to wspólnym kosztem, mówił d'Epernon.

— Słusznie on się przynależy naszemu panu i zwycięzcy, dodał Saint-Mégrin.

Król jednak nie przestawał robić coraz odmien-
nych i coraz trudniejszych zwrotów i rzutów, z któ-
rych żaden od téj chwili nie chybił. Cały ten dzień
przepędził w najśrodszym chumorze, i mnóstwo łask,
które w nim rozsiał, przypisać należy szczęśliwym
rzutom w Bilbokiet.

Jeżeli chcieliśmy kochane dziatki uczynić was
świadkami sceny tak dziecinnej na oko; jeżeli prze-
nieśliśmy was na dwór Henryka III, monarchy tym
interessowniejszego, gdyż on i nad Polską panował
pod imieniem Henryka Walezyusza; jeżeli ukazaliśmy
wam tych ludzi tak wyrafinowanych, którzy w owych
czasach ustawicznych pojedynków, z równą ochotą
dobywali z pochwy szpad, jak chwyтали za Bilbokiet;
to uczyniliśmy jedynie dla tego, ażeby was przeko-
nać, że gra ta, zwykła rozrywka wasza w czasie
flag lub zamieci zimowych, nie dzisiaj jest po-
mystem; a lubo nie sięga tak odległej starożytności,

ażeby miała być znana u Greków, jak naprzykład
gra w Gąskę sięgająca czasów patryarchalnych, jest
przecież dosyć starożytną, skoro była rozrywką na-
szych naddziadów.

Wreszcie Bilbokiet nie jest zabawką przeznaczo-
ną wyłącznie dla dzieci, jak naprzykład Serso; on
zatrudniając mechanicznie ręce, zostawia umysłowi
spokój i całą moc działalności, i dlatego był ulubio-
ny od najpoważniejszych nawet ludzi.

Znałem sam męża wysoko uczonego, któren wy-
łącznie poświęcał się wiadomościom metafizycznym.
W gabinecie jego, okok narzędzi matematycznych i fi-
zycznych, w pośródksiągprzepełnionych zarówno mą-
drością jak i kurzem, zarazem zawieszony był na
ścianie Bilbokiet.

— Na cóżby, zapytałem go, przydaćby ci się mo-
gło narzędzie tak dziecinne, obok wzniosłych zatu-
dnień twoich i zbioru tych ksiąg i narzędzi głęboką
naukę oznaczających.

— Na co mi to przydać się może? odrzekł, oto
zaraz ujrysz. I wzięwszy do rąk Bilbokiet, robił

nim najtrudniejsze rzuty. Przyjaciół to mój, dodał,
i bardzoby boleśną była dla mnie utrata jego. Czyli
zechcesz uwierzyć, że jemu winien jestem rozwiąza-
nie nie jednego zagadnienia. Często znużony i wy-
silony umysł mój, niezdolnym staje się do pracy;
biorę wtenczas bilbokiet i często się zdarza, iż uży-
wając téj rozrywki, umysł mój nieznacznie wypoczy-
wa i rozwiązuje zawitości, które przed chwilą niedo-
stępne były dla niego.

We wszystkich prawie pracowniach znakomitych
malarzy znajdziecie Bilbokiet. I cóż to dowodzi?
oto, że gra ta jest rozrywką każdego wieku, a jako
wymagająca niepospolitej zręczności, przechodzi za
granice dziecinnego wieku. Przekonywa również, że
ludzie najpoważniejsi, obok całej roztropności, mają
zawsze jakąś cząstkę w sobie upodobań dziecinnych,
i ta właśnie ich słaba strona, szuka niekiedy zado-
wolenia.

Bawcie się więc w Bilbokiet, młodzieży! naby-
wajcie zręczności w téj grze. Czyliż potrzeba wam
opisywać to narzędzie? Czyliż nie wiecie, że ono

składa się z matěj rękojeści, w której jeden koniec
jest zaostrozony, a drugi płaski z matém zakłęsnie-
ciem; że u rękojści téj na sznurku jedwabnym, łokieć
długim, zawieszona jest gałeczka z otworem we
środku, dla tego ażeby rozmachana, rękojeść tak na-
kierować, iżby wskoczyła i uwiązła na ostrym jěj
końcu, i to jest łatwiejsze; ale uchwycenie wśród
rozmachania gałeczki na płaski koniec rękojści, wy-
maga daleko więcej wprawy. Obeznani z temi dwoma
początkowymi ruchami, możecie przystąpić do nieró-
wnie trudniejszych, możecie sami wymyślać sobie zwro-
ty i rzuty, chwytając gałkę, to biegnąc sami, to wzno-
sząc ręce nad głowę, to za plecami, a mając w tém
wprawę, możecie się uważać już za wydoskonalonych
graczy.

Grajcie więc w Bilbokiet dzieci i młodzieńcy! graj-
cie bez obawy, nie będziecie posądzonemi o lekko-
myślność i poświęcanie czasu zatrudnieniom nieuży-
tecznym, i powiedźcie sobie, że doroślejsi od was
znajdują przyjemność w téj grze.

SPIS RZECZY.

	Stron.
I. Sznur	1
II. Hopki czyli Skok Barani	6
III. Ślepa Babka	12
IV. Morze	18
V. Cztery Kąty i Piec Piąty	24

	Stron.
VI. Jabłko, Balon i Piłka	29
VII. Wolant i Gracye	35
VIII. Latawiec	41
IX. Serso (le serseau)	46
X. Bilbokiet (Bilboquet)	51





11939 MKD

300

160,000—

